

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



EDWARD SŁOŃSKI

W WIEZIENIU

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Różnemi drogami szła Polska do wolności...

Różne też bywały dzieje Polaków, co, obroży nosić nie umiejąc, pęta niewoli daremnie targali...

Od Kościuszkowskich bojów, po ten dzień 11 listopada 1918 r., kiedy to po długiej niewoli, znów zatrzepotał Orzeł Biały, któż wyliczy te męki, więzienia i nieszczęśliwe boje?!...

Historja o nich pisze! Polska Wolna i Niepodległa to pamięta, bo z tej krwi przelanej i popiołów i kości po świecie całym porzsiewanych – powstała...

Do historii też przeszła już tak niedawna jeszcze, z przed lat dwudziestu dopiero, epoka ludzi i walk podziemnych. Na kartach książki niniejszej znakomity poeta, autor słynnego zbioru „Ta, co nie zginęła”, Edward Słoński, utrwalił przemożną potęgą swego pióra tych ludzi i te czasy, pełne smutku, męczeństwa i znowu... zawiedzionych nadziei.

Szczęśliwsze jednak było to pokolenie: wielu z nich Polski Wskrzeszonej doczekało.

Redakcja

Z DALEKICH TAJG.

*Z dalekich tajg, skąd wicher dmie orkanem
i strząsa śnieg z podbiegunowych lodów,
z mandżurskich pól, porośniętych gaolanem,
z żołnierskiej krwi, z żołnierskich nędz i głodów,
śród huku dział, na stosach ciał i kości
wstała, jak sen, tęsknota do wolności.*

*I poszła w dal na drogi i bezdroża
przez wierzchy gór, przez wielkich rzek rozlewy,
objęła świat od morza aż do morza –
od śnieżnych tajg aż do granitów Newy,
a kędy szła, na serca małych ludzi
rzuciła głos, co śpiących ze snu budzi.*

*Na progach chat stawała w mgliste ranki,
w wieczorny zmierzch sny dzieciom czarowała
w milknący śpiew nieznannej kołysanki,
w bojową pieśń, od której huczą działa –
i padał grom, gdy w bursy śród błyskania
pisała swe ogniste przykazania.*

*/ jęły lkać po monastyrach dzwony
i nieba strop łunami zaczął świecić,
na twarzach krwią zastęgał śmiech czerwony,
ktoś żagwie brał i szedł pożary niecić –
i z nowych łun od morza aż do morza
skroś nocny mrok zaczęła wstawać zorza.*

*A ona szła rzekami czerwonymi
przez gruzy miast, przez groby bezimiennie,
wsiąkała krwią w rozwarte łono ziemi,
pożarem siól budziła noce senne –
i w ludzkich serc i w ludzkich dusz więzienia
rzuciła krwią prorocstwo wyzwolenia.*

W WIĘZIENIU.

I.

Po rewizji, która trwała prawie całą noc, pana Jana Downara aresztowano.

Było jeszcze zupełnie szaro, kiedy przez puste ulice szedł pod zbrojną strażą do więzienia. Wysoki, barczysty policjant sunął przed nim z taką powagą i godnością, iż narazie wydało mu się, że to idzie sam pan komisarz. Raz tylko, przy załatwianiu jakichś formalności paszportowych, widział komisarza swojego cyrkułu, zapamiętał jednak jego generalskie gesty i generalską postawę. Ten idący przed nim policjant miał właśnie w sobie coś generalskiego i przypominał panu Janowi komisarza.

Za panem Janem szło czterech żołnierzy z karabinami. Stąpali ciężko, szłapiąc ogromnymi buciskami po wyboistym bruku ulicy.

Panu Janowi dokuczał wilgotny chłód marcowego poranku. Przez cienkie, gienzowe buciki chwycił go lepkiem błotem za nogi i szedł w górę po kościach dreszczem.

Brrr!...

Niespana noc, pełna jakichś wstrząśnień i wrażeń niemiłych – wykoleiła go zupełnie. Ręce w głębokich kieszeniach jesiennego paltota trzęsły się, dolna szczęka nerwowo uderzała o górną, a myśli bezładnie plątały się po głowie.

Nieraz wracał do domu o świcie, lecz każdy taki spóźniony powrót miał przedsmak bliskiego wypoczynku. W wygodnym łóżku czekał go zmęczony sen bez śnicia, spokojne trwanie bez myśli. Przez zapuszczone rolety zaglądał do pokoju dzień, a on słyszał, zasypiając, ciche stapania i szepty. – Marynia i mała Nika chodziły na palcach i rozmawiały szeptem... Dziś – jakże się czuje inaczej! Nie wie, co go czeka, dokąd idzie i po co?...

Brrr!...

Z wylotów ulic poprzecznych, koło których przechodzili, zrywał się wiatr chłodny, dojmujący, uderzał w twarz, wciskał się między poły paltota i przeraźliwie huczał w uszach. Wówczas policjant oglądał się poza siebie niespokojnie, a żołnierze przyśpieszali kroku i otaczali pana Jana zwartym kołem.

– Nie bójcie się... nie ucieknę... – myślał pan Jan i coraz głębiej wsuwał głowę między ramiona, a ręce w kieszenie paltota.

Po półgodzinnej wędrówce wprowadzono go wreszcie na zabrukowane podwórko więzienne, skąd po kamiennych schodkach dostał się do obszernej sieni. W sieni panował jeszcze mrok, w którym z trudnością zdołał rozróżnić niskie ławki dookoła ścian i oszklone drzwi w głębi, wiodące na kurytarz.

Na chwilę pozostawiono go w sieni samego. Usiadł na ławce i wcisnął się w kąt jak najgłębiej. Był rad, że nie smaga już go wicher, że otoczyły go jakieś grube, czarne ściany i że ma suchą kamienną posadzkę pod nogami. Pomimo tego dzwonił jeszcze wciąż zębami i trzął się od zimna.

Nigdy nie bał się zimna i nie rozumiał, dlaczego dziś tak bardzo przemarzł. Nie rozumiał również i tego, dlaczego jest w więzieniu? Jak się to wszystko stało? Sam oglądał własnymi oczyma rozkaz aresztowania jego, Jana Downara. Pamięta doskonale – było: Jan Downar... Jan Downar...

O dwunastej w nocy ktoś energicznie zadzwonił do drzwi ze schodów i jednocześnie ktoś drugi zaczął dobijać się do kuchni... Kto?... Policja! Czego?... Otworzyć – krzyczał czyjś rozkazujący głos. I otworzył... Weszło ich dziesięciu... nie! piętnastu... Mieli miny poważne,

urzędowe... A on automatycznie otwierał przed nimi wszystkie szuflady, drżącymi rękami rozkładał papiery, fotografie, listy... Tłómaczył, czytał... Widział dokoła siebie obcych ludzi i przerażone, wylękle oczy Maryni... Chodziła za nim, jak cień i szeptała:

– Co to, Janku? dlaczego?

– Nic... nic... uspokój się... – odpowiadał i ścisnął ją za rękę.

A potem kazali mu się ubrać i iść. Oplotły go białe, ciepłe ręce, ciepłe usta zadrżały na ustach jego tłumionym płaczem.

Poszli...

W cyrkule, w brudnym, szarym pokoju z portretem w złoczonej ramie powiedziano mu raz jeszcze, że jest aresztowany i kazano coś podpisać. Czerwony nos pomocnika komisarza pochylił się nad jego podpisem.

– Charaszo! wiedicie!

I znowu znalazł się na ulicy, na mokrym chłodzie i wietrze.

Dobrze, że siedzi już w kącie, przytulony do wytartej, brudnej ściany, sam... sam zupełnie...

Więzienie budziło się ze snu. Z kurytarzów przez oszklone drzwi zaczęły dolatywać głosy rozmów, ciężkie stapania i zgrzytania kluczków w ciężkich więziennych zamkach. Zadzwończyły gdzieś szyby we drzwiach, ktoś przebiegł po schodach.

Pana Jana morzyła senność, jakieś mgły napęły mu oczy... Prędej... byle prędzej zasnąć choć na chwilę! I nagle, jak z pod ziemi, wyrósł przed nim ten sam policjant, który go przyprowadził z cyrkulu i w milczeniu wskazał mu drzwi do kancelarii.

Pan Jan automatycznie podniósł się i poszedł we wskazanym kierunku.

W kancelarii było pełno stołów poplamionych i podrapanych. Przy stołach stały jesionowe, żółte krzesła z powycieranymi poręczami i z podartą na siedzeniach ceratą. Przez środek pokoju, po białej i nierównej podłodze, biegł szary, sukienny chodnik.

Przy jednym ze stołów w głębi pokoju, siedział zaspany i nieumyty urzędnik, przy drzwiach stało dwóch strażników więziennych. Jeden z nich był bardzo wysoki i miał czerwoną twarz z sumiastym wąsem pod nosem, drugi był niski i krzywy, twarz miał bladą, brudną, nastroszony wąs i oczy patrzące z podębła. Panu Janowi wydało się, że ci obaj strażnicy i ten zaspany urzędnik, to dalszy ciąg mizernego umeblowania kancelarii więziennej, tak dalece dopełniały się nawzajem ciemne barwy szynelów z podartą ceratą krzesel i szary, wydeptany chodnik z brudną szarością twarzy nieumytego i zaspanego urzędnika.

Policjant rozkazującym tonem poprosił o zdjęcie paltota i marynarki – i pan Jan uczuł na sobie ręce strażnika z czarną brodą. Objęły go wpół, pełzły na dół po ciele, utonęły na chwilę w kieszeniach spodni i ześlizgnęły się po kolanach na mokre i brudne buciki. Jednocześnie strażnik z sumiastym wąsem trząsnął jego marynarkę i rewidował kieszenie paltota. Potem zabrano mu szelki, krawat i zegarek i pozwolono się ubrać. Powoli naciągał na siebie marynarkę i czuł na powiekach coraz większą senność. Szary chodnik zaczął pod nim nieprzyjemnie falować, a brudne i podarte krzesła zakołysały się, jak łódki na wodzie.

Po chwili siedział na jednym z tych brudnych krzesel nawprost urzędnika i odpowiadał na pytania.

Gdzie się urodził? Gdzie? Daleko – w jednej z północnych gubernij Litwy... wymienił nazwę. Mieszkał na wsi, potem uczył się w Wilnie, potem w głębi Rosji... O, daleko! bardzo daleko, gdzieś na końcu świata. Potem powrócił do kraju... Czem się trudni? z czego żyje? Jest artystą... nie! nie maluje, nie pisze... Skończył prawo, więc jest prawnikiem... Czy żona? czy ma dzieci? Pytania sypały się jedno po drugim, zachrypły głos urzędnika pełzł po nim i skrzypiał, jak źle nasmarowane drzwi... Ma... ma żonę i jedno dziecko, tylko jedną małą córeczkę, Nikę.

– Ten brudny, zachrypły urzędnik nie zna Niki... – myślał i odpowiadał w dalszym ciągu sennie, ziewając co chwila, a przed zamglonymi jego oczami przesuwwały się jakieś dalekie

obrazy, chodziły znajome mgły, pełne kształtów zapamiętanych niegdyś przed laty i pozbawionych szarej powszedniości.

Widział urwisty brzeg rzeki, widział wielki pszeniczny łąn, falujący złotem, bezkresny... Widział jakąś małą miścinę, biały kościółek z czerwonym dachem, sklep z zielonemi okiennicami, długi, szary mur i zielone kopuły cerkiewki...

Potem widział serdeczną głowę ojca... potem jakieś oczy chabrowe, dziecinnie bezradne i jednocześnie głębokie, jak morze.

– Podpiszcie! – powiedział wreszcie urzędnik, podsuwając mu poźółkły arkusz papieru. Podpisał.

– W 63 nomier!

Wysoki z dużym, płowym wąsem strażnik zastukał butami po podłodze i zadzwonił kluczami. Pan Jan wstał i wyszedł za nim drzwiami wiodącymi na kurytarz. Na kurytarzu było jeszcze mroczno. Z końca, przez podwójne oszklone drzwi z zakratowanego okna, sączyło się szare, niepewne światło budzącego się marcowego dnia.

Po czarnych, żelaznych schodach weszli na piętro. Na piętrze był taki sam kurytarz, tak samo przedzielony oszklonemi drzwiami i z obu stron zakończony zakratowanymi oknami.

Pan Jan szedł za strażnikiem sennie i powoli. Myśli plątały się bezładnie:

– Więc to tak się wchodzi do więzienia... po takich czarnych, długich schodach... przez taki długi kurytarz... Nie wszyscy stąd wychodzą... nie wszyscy... W oknach, we drzwiach, wszędzie kraty pełne oczu podpatrujących i szpiegujących... Za kratami siedzą ludzie pod zbrojną strażą... i on tak będzie siedział... Jan Downar... Jan Downar...

Skręcili na lewo. Oszklone drzwi otworzyły się przed nimi bez szmeru i tylko przy zamknięciu zadzwoniły ciężarem żelaznych ram.

Przez środek kurytarza, jak w kancelarji, biegł długi, szary chodnik. Kurytarz był nieskończenie długi, sklepiony i mroczny. Z obu stron ciągnęły się dwa szeregi zamkniętych, pomalowanych smołą na czarno drzwi.

U wejścia spotkał ich oddziałowy strażnik Makar Lisica i badawczym spojrzeniem zmierzył pana Jana. Makar Lisica był już od kilkunastu lat strażnikiem więziennym i miał oczy wprawne do oceny nowych przybyszów. Od razu poznał z kim ma do czynienia.

Po ukończeniu służby wojskowej, zamiast wrócić do swej wioski rodzinnej, został strażnikiem w więzieniu. Z początku przytłoczyła go ponurość mrocznych kurytarzów i gęste siatki rdzawych krat w każdym oknie. Powoli jednak przyzwyczał się do więziennego życia, wrósł w tę zaryglowaną mroczność i znieczulał na dramaty, które codziennie zamykał na cztery spusty swymi ciężkimi kluczami. Uszy zaczęły chciwie podsłuchiwać, a oczy podpatrywać. Nawet cała powierzchowność jego znakomicie dopasowała się do tego ponurego otoczenia. Oczy nabrały jakiegoś chytrego wyrazu i patrzyły z podpełbą, głowa pochyliła się naprzód i weszła głęboko między szerokie, kościste ramiona. Sprawiało to wrażenie, że jest garbusem. Kiedy zaczynał mówić, usta jego kurczyły się tak, że każdy myślał, iż się śmieje. Ale naprawdę Makar nie śmiał się prawie nigdy – był, jak więzienie, ponury i skryty. Mieszkał wraz z żoną Praskowją w obrębie więzienia, w małym domku piętrowym. Praskowja była córką podoficera żandarmów z cytadeli, Własowa. Stary żandarm odwiedzał ich dość często. Podczas odwiedzin wypijał zwykle niezliczoną ilość szklanek herbaty. Lisica lubił teścia i chętnie rozmawiał z nim o polityce.

– Sława Bohu, uśmirym – powtarzał – uśmirym...

– Izwiestno – potakiwał mu teść. Dziś, obejrawszy uważnie pana Jana, Lisica pytająco spojrzął na kolegę z sumiastym wąsem.

– Kuda? – zapytał.

– W 63 – odpowiedział ten i zajrzał w głąb kurytarza.

– Oho! szczęśliwczuk z pana... najlepsza cela... salonowa cela... – zwrócił się Lisica do pana Jana łamaną polszczyzną.

– Najlepsza... salonowa... – powtarzał pan Jan w duchu, idąc za nim w głąb kurytarza. Zrobiło mu się naraz błogo, że będzie miał najlepszą celę.

Po chwili znalazł się w niedużym, kwadratowym pokoiku o białych ścianach i małym okienku u góry. W kącie, między wmurowaną w ścianę deską, imitującą stół, a ścianą zewnętrzną był zawieszony hamak z szarego płótna do spania, z drugiej strony było to samo. Na jednym z nich leżała czyjaś pościel i ubranie, ale w celi nie było nikogo.

– Będę tu nie sam? – zapytał.

– Z towarzyszem... A cóż, z towarzyszem weselej będzie – odparł Lisica i wysunął się z celi na kurytarz.

Pan Jan ucieszył się, że będzie miał towarzysza. Zawsze we dwóch weselej – można będzie rozmawiać i nie myśleć ciągle w kółko o jednym i tem samym. Więzienie wyobrażał sobie, jako ciągłą, beznadziejnie głuchą i zapomnianą samotność, zamkniętą na cztery spusty, zaryglowaną i zakratowaną, z wiecznym myśleniem o wolności. Ucieszył się więc, jak dziecko, dowiedziawszy się, że będzie miał towarzysza.

– Towarzysz... towarzysz... kto on? za co siedzi? – myślał, układając się na pustym hamaku i okrywając się paltotem.

Na drugim hamaku leżało ubranie – szara, wytarta i postrzępiona marynarka, kamizelka z brudną i podartą podszewką i postrzępiony kołnierzyk. Zniszczone, stare ubranie zaczęło mu opowiadać o swoim właścicielu. Więzienny towarzysz, którego nie widział jeszcze, w drzemających oczach zaczął przyoblekać się w żywe kształty. W ciasnej, sklepionej celi było pełno jego ruchów i głosu. Chodził niezgrabnie, ciężko, mówił szeptem i patrzył z podełba.

Jakiś działacz partyjny... robociarz...

I nagle oczy pana Jana zamknęły się, a myśli rozpląnęły się w bezkształtach snu.

Spał, jak człowiek zmęczony do utraty zmysłów, przestał egzystować zupełnie.

Kiedy obudził się, sklepiona, biała cela była pełna słońca. Otworzył i zamknął oczy – i znowu otworzył i zamknął i leżał w zdrętwiałym bezruchu.

Więc to prawda, to rzeczywistość! Obudził się w więzieniu... On, Jan Downar obudził się w więzieniu.

I za co? za co?

Codziennie zrana w gazetach pod rubryką: aresztowania i rewizje – przebiegał oczyma nazwiska aresztowanych, potem myślał o nich przy śniadaniu, potem w cukierni rozmawiał o nich ze znajomymi.

A dziś jest sam aresztowany i siedzi w więzieniu... Jak to brzmi! Jan Downar siedzi w więzieniu?

Oryginalnie... Napiszą o tem w gazetach, a wszyscy jego znajomi będą myśleli o nim przy śniadaniu i będą rozmawiali o tem w cukierni. Kelner będzie nadstawiał uszu, podsłuchując ciekawą rozmowę o aresztowaniu jego stałego gościa.

Jan Downar siedzi w więzieniu. Więc to ta rewolucja, o której przedwczoraj jeszcze rozprawiał w barze Pod Wiechą, ta rewolucja, którą tak uwielbiał głośno, pokazała mu swoje pazury.

Marynia mówiła mu zawsze, że jest nieostrożny.

Otworzył oczy.

Po celi wszerek i wzdłuż chodził niski, szczupły blondyn w szarej marynarce i w brudnym postrzępionym kołnierzyku. Mógł mieć najwyżej trzydzieści lat. Długie, rzadkie włosy niezdecydowanego koloru odsłaniały wysokie czoło. Twarz miał żółtą o wystających kościach policzkowych i grubych mięsistych wargach. Wąsów prawie nie miał, tylko na szyi i koło uszu rosły mu nierówne i rzadkie kępy włosów. Ubranie leżało na nim niewygodnie, marynarka wślizgała na szyję i dotykała nierównych kosmyków włosów na głowie, spodnie marszczyły się i krępowały ruchy.

Pan Jan zmrużył oczy – jeszcze chwilę chciał być sam, niepytany o nic, cichy, spokojny...

Zupełnie inaczej wyobrażał sobie swego towarzysza, jakiegoś rewolucjonistę bojowca, zdecydowanego na wszystko zatracenia. Ten wąty, snujący się po celi, jak cień, człowiek, jakże inaczej wyglądał!

Pan Jan wogóle stał daleko od rewolucji. Ruchy mas, protesty szarych tłumów, pojedyncze wybuchy przyoblekały się w jego wyobraźni w jakieś osobowe, urojone kształty. Zdawało mu się, że rewolucjoniści to jakieś wielkie olbrzymy, o długich, żylastych rękach, ociekających krwią, i barach atletów. Wyrazy: robotnik, lud – tworzyły wielkie, szare obrazy, czarne sylwety zadymionych, fabrycznych miast, nawoływania, krzyki i zgrzyt maszyn. Widział ogromną rękę, dźwigającą olbrzymi młot, nabrzmiałe wielkim wysiłkiem mięśnie – zupełnie, jak na afiszu jakiejś wystawy berlińskiej. Wyraz „rewolucja” dawał zupełnie inny obraz. Widział szare mrowie ludu, długie węże pochodów, słyszał stapania tysiąca nóg, oddechy tysiąca piersi i niestrojną, nierówną, chóralną pieśń. I nagle stanął przed nim ten rewolucjonista, bez mięśni, bez krwi, o twarzy żółtej i pomarszczonej, jak cytryna. Co za zawód! Więc to tak wygląda ten bunt, zmiatający stare porządki i stare prawa!

Otworzył oczy i usiadł na płótnie. W tejsze chwili zaczęły na niego patrzeć badawczo siwe oczy towarzysza. W spojrzeniu tem była jakaś nieprzyjemna, podejrzliwa skrytość człowieka, podpatrywanego i szpiegowanego na każdym kroku i jednocześnie chciwa ciekawość więźnia.

Mierzyl się oczyma przez chwilę.

Niski blondyn w niezgrabnej marynarce zatrzymał się pod drzwiami.

– I cóż? tak będziemy siedzieli razem – powiedział, uśmiechając się do pana Jana.

– Chyba – odrzekł pan Jan, starając się uśmiechnąć do niego.

Chciał nadrabiać miną i nie mógł. Zamiast uśmiechu, coś podobnego do płaczu wykrzywiło mu usta.

– A tak... a tak... – powtarzał niski blondyn.

– Czy pierwszy raz? – zapytał po chwili.

– Tak.

– Pierwszy raz najciężej... A potem, to furda. Człowiek wchodzi w te mury z doświadczeniem... ale pierwszy raz, jak wy teraz – to ciężko, napadną takie bunty, że rękami zechcecie kraty giąć, a zębami mury gryźć...

Włożył ręce w kieszenie i zaczął biegać po celi.

– Potem wszystko minie – mówił w dalszym ciągu – wszystko ułoży się jakoś możliwie. Pójdą tygodnie, miesiące... Człowiek do wszystkiego musi się przyzwyczaić.

Pan Jan wiedział, że do wszystkiego można się przyzwyczaić, wchodząc jednak w te mury, łudził siebie nadzieją, że wchodzi na dwa lub trzy dni, jak do jakiejś samotnej pustelni, albo do szpitala. Myślał, że przez te dwa lub trzy dni potrafi tak się urządzić, jak w szpitalu: poleży cichutko, patrząc, jak przez mgłę, na krzątających się posługaczów, odpocznie. W szpitalu był już dwa razy i za każdym razem doznał tego uczucia wypoczynku w cichości białych ścian, pod osłupiałem ze zmęczenia okiem szarytek.

– Pójdą tygodnie, miesiące... – myślał teraz i zrobiło mu się straszno od tych słów towarzysza – tygodnie... miesiące...

Wstał z posłania i wyciągnął do towarzysza rękę.

– Jestem Jan Downar – powiedział cicho.

– Przepraszam, jak?

– Jan Downar.

– A ja jestem Bolesław Czernski. Stali nawprost siebie w słońcu, zupełnie różni, zupełnie do siebie niepodobni.

– Jeszcze się poznamy... Oho, będzie dosyć czasu... Ja jestem chłop z pod Kalisza, student politechniki lwowskiej, aresztowany po raz trzeci przed pół rokiem.

– Przed pół rokiem! – wykrzyknął pan Jan z przerażeniem. – Jakto, więc siedzicie tu już pół roku?!

– A cóż wy sobie myślicie? Pół roku, to niedużo. Są tu tacy, którzy siedzą dłużej. Ten tam za ścianą – tu wskazał palcem na ścianę, przy której sypiał – siedzi już rok przeszło.

– Przeszło rok! – powtórzył pan Jan prawie bezdźwięcznie i upadł na duchu. Jak młyńskie kamienie spadły na niego słowa towarzysza.

– Przeszło rok!

* * *

Odtąd zaczęło się dla niego nowe życie, zupełnie inne, niż to, które wiódł dotychczas. Na długie godziny rozmyślań więziennych kładła się szarość wielkich smętków, pomimo, iż wiosna coraz większym słońcem zalewała ich białą cełę.

Dzień więzienny zaczynał się o szóstej rano. Z milczących cel odlatywały ostatnie sny i zewsząd zaczynały się odzywać obudzone głosy. Odryglowywano z trzaskiem drzwi, biegano po kurytarzach i krzyczano. Pan Jan podnosił się ostatni, ubierał się leniwie i, doczekawszy się swojej kolei, szedł na kurytarz myć się. Więźniowie myli się w końcu kurytarza, pod dużym oknem, z którego widać było kawał miasta, kilka starych drzew i czerwone wieże kościoła. Pan Jan lubił to miejsce i zwykle mył się bardzo długo.

O ósmej przynoszono gorącą wodę i wówczas Czerski w dużym blaszanym imbryku zaparzał herbatę. Po herbacie przychodził posługacz sprzątać. Więźniom politycznym usługiwali więźniowie kryminalni. Cełę pana Jana sprzątał złodziej pobytowy, Marcin Dzida, czasem tylko zastępował go w tej czynności Józef Kotek, który utrzymywał, że zakłół teścia i teściową przez nieostrożne obchodzenie się z widłami.

O ile Dzidę pan Jan lubił, o tyle czuł jakiś niewytłumaczony wstręt do Kotka.

Dzida był wysoki, nadmiernie barczysty i niezgrabny. Miał ospowatą, kwadratową twarz bez zarostu, niespokojnie biegające z przedmiotu na przedmiot oczy i szczecinę krótko i nierówno ostrzyżonych włosów nad potwornie niskim czołem. Przytem odznaczał się ogromną niechłujnością – nosił na sobie kurze wszystkich cel, które sprzątał i błoto wszystkich półgodzinnych przechadzek po rozmięklej od deszczów dróżce, gdzieś na podwórku pod oknami więzienia. Było w nim jednak coś takiego, za co go pan Jan pokochał: była w nim jakaś niezdarzna niezgrabność, jakaś niedźwiedzia powolność i dobroć.

Był rodem z podmiejskiej wsi. W szóstym roku życia stracił rodziców i poszedł do miasta na poniewierkę, na bruk, a w ósmym nauczył się kraść. Odtąd połowę życia przesiadywał w więzieniu.

Kradzenie stało się jego fachem. Kradł gdzie mógł i co mógł, nieraz nawet rzeczy bezwartościowe, niepotrzebne nikomu.

O fachu swoim opowiadał z zachwytem, chełpił się i przechwalał:

– Każdą rzecz trza fajnieście wykonać, jak się patrzy – mówił nieraz z dumą – fi... fi... Dzida umie i tak i tak. Nie każdy tak potrafi, jak Dzida.

Pan Jan jednak przekonał się wkrótce, że były to tylko przechwałki. Dzida był we wszystkim niezdarą.

W więzieniu czuł się, jak u siebie w domu. W zimie nawet był rad, że ma dach nad głową i trochę ciepłej strawy. Dopiero na wiosnę zaczynał tęsknić. Niktby nie przypuszczał, że niezdarne Dzida może tęsknić, a jednak Dzida tęsknił. Po szóstej wieczorem, kiedy zaryglowano już ostatnie drzwi i kiedy na kurytarzach robiło się zupełnie cicho, Dzida stawał na taborecie pod oknem, przyciskał twarz do kraty i długo patrzył w niebo, w lunę zachodu, w dal. Widocznie ogarniał go wówczas jakiś smutek wielki, albo żalność jakaś serdeczna, gdyż zaczynał mruzczyć, o czym potem więźniowie opowiadali, że są to modlitwy żydowskie i drażnili biednego Dzidę, mówiąc mu, że jest żydem.

Dzida jednak był antysemitą i nie lubił, gdy go nazywano żydem.

– Sami wy żydy podłe jesteście! – mruzczał wówczas pod nosem i żegnał się, chcąc zamantestować przed kolegami, że jest katolikiem.

W więzieniu lubili go wszyscy prócz Lisicy. Kto wie, może nawet i Lisica go lubił i może dlatego wylewał na niego swoją złość, żeby zamaskować słabość, którą czuł do niego. Dzida puszczał mimo uszu wymyślania i tylko czasem ośmielał się burknąć:

– Odknaj, Herodzie jakiś, bo nie strzymam dalibóg! I w dalszym ciągu cierpliwie wytrzymał wycieczki Lisicy.

A Lisica drażnił jego ambicję:

– Ty sam poprobój, psia twoja mać – mru z ciebie złodziej?

– Ty sam poprobój, psia twoja mać – mrucał Dzida i gniewnie zaciskał pięście. A głośno dodawał:

– Pan naczelnik pewnikiem lepiejby to zrobił.

Dzida miał dobre serce i chętnie tem, co posiadał, dzielił się z innymi.

Raz przyniósł panu Janowi w małej doniczce jakieś blade i anemiczne zielsko, strannie wypielęgowane przez siebie samego i z jakąś wielką, dziecinną radością wygłosił:

– Wedle wiosny urosło mi to to w tym czerepie... tylko patrzeć, jak zakwitnie. W ulu i to kwiat fajny.

Innym razem, kiedy panu Janowi zabrakło książek i obaj z Czerskim siedzieli beczynnie, Dzida przyniósł im jakąś rosyjską powieść sensacyjną, skradzioną urzędnikowi Muchinowi w kancelarji.

– Jak mogliście, Dzida! – zaczął pan Jan i urwał. Przykro mu się zrobiło nazwać to kradzieżą.

Dzida jednak dokończył :

– Kraść...

Machnął ręką i zaczął gwizdać.

Biedny Dzida miał manję wielkości – myślał, że jest mistrzem w swoim fachu – i dlatego jedynie z pogardą odzywał się o Kotku.

– Psia jego mać – mówił z irytacją w głosie – zagłupi na złodzieja, nic więcej!

Kotek był rzeczywiście głupi. Pan Jan jednak miewał nieraz wątpliwości, czy Kotek w samej rzeczy jest tak głupi, jak wygląda, czy też tylko udaje głupiego.

Zaledwie od paru miesięcy siedział w więzieniu, a już potrafił tak znakomicie przyzwyczaić się do szarej monotonii więziennego życia, że nie miał nawet takich małych protestów i takich cichych tęsknot, jak Dzida. Zdawało się, że Kotek tylko po to się urodził, żeby siedzieć w więzieniu, usługiwać panu Janowi i Czerskiemu, wnosić kubły, obnosić po celach o pierwszej drewnianą wanienkę z krupnikiem i spać od szóstej do szóstej.

Był chudy i mały i cały szaro-bury, jak kot. Wszystko na nim było takie szare, jak ziemia, jak długi chodnik na kurytarzu więziennym. Duszę musiał mieć również taką samą szarą, nieobudzoną żadnym wschodem, nieuszlachtetnioną żadną myślą. Wyzywająco patrzył każdemu w oczy i miał jakieś bezmyślne okrucieństwo w swoich cynicznych opowiadaniach.

Był chłopem z pod Lublina. Miał kilka morgów gruntu, całe gospodarskie obejście, żonę, troje dzieci, teścia i teściową. Z teściami nie mógł żyć w zgodzie. Teść był gderliwy, zły. Kotek przydybał go raz w sieni i dźgnął widłami. Teść zachwiał się i krzyknął przeraźliwie... Kotek poprawił... Na krzyk teścia weszła teściowa.

– Cha... cha... cha... – śmiał się Kotek, opowiadając to panu Janowi – weszła, moiściewy, ręce rozciapurzyła, ślipia na mnie wywaliła i ryczy. A ty czego? – mówię ja do niej i widłami w brzuch. Panie świeć nad jej duszom.

Kotek zawlókł oboje do chlewika, zakrył słomą, a sam położył się spać.

– Pierwszom noc, moiściewy, spokojniem spał – opowiadał, śmiejąc się głupio.

Spał spokojnie, popełniwszy podwójną zbrodnię! Pan Jan napróżno łamał sobie głowę nad rozwiązaniem zagadki, dlaczego Kotek nie rozumiał swego czynu, napróżno szukał podłoża tego w jego charakterze. Kotek był łagodny, cichy i powolny, sprzątał, nosił kubły i spał, jak człowiek z czystym sumieniem. I właśnie dlatego pan Jan nie lubił Kotka.

Myśląc o nim, doznawał wrażenia, że dotyka czegoś martwego, że kładzie ręce w otwartą trumnę. Kotek nie miał duszy... musiały tam być jakieś iskielki, kiedy się urodził, ale nikt ich nie rozdmuchał, więc pogasły i pozostała tylko pusta szarość, zupełnie martwa szarość, takie umarłe nic. Ta szarość nie mogła znieść słońca, więc wsiąkała w mury więzienne.

Czerski te rozumowania pana Jana nazywał zawracaniem gitary. Według niego Kotek był ofiarą ustroju społecznego.

Od początku było między nimi ciągle nieporozumienie. Pochodzili obaj z jednego środowiska, dzieliły ich jednak jakieś rozgraniczenia dwóch przeciwnych sobie światów. Myśli ich chodziły różnymi gościńcami i nie mogły się spotkać. To nalewało ich rozmowy goryczą. Nieraz zjawiały się kłójące ironje, pogardliwe wzruszenia ramion i długie rozdzwieki.

Czerski, jak Kotek, stawał się dla niego powoli trudną do rozwiązania zagadką. Z drobnych szczegółików i z długich godzin przymusowego obcowania wyrosło przed oczyma pana Jana całe jego życie.

Nie! nie – to nie było życie! To było jakieś długie całopalenie, ofiara, młodzięczość – wszystko, ale nie życie.

– Takich Kotków u nas tysiące, dziesiątki tysięcy – mówił raz Czerski w dyspacie. – I prawda, że to nieobudzona dusza, prawda! Takie dusze trzeba budzić. Każdy człowiek musi mieć pełną duszę...

I pan Jan zaczął myśleć o pełnej duszy. Co on nazywa pełną duszą? Co? Może to swoje połowiczne życie? To życie bez jutra, bez dachu, bez imienia?

Przecież jest tylko jeden pewien szereg lat do przeżycia, tylko jeden szereg lat dla każdego. A Czerski ze swego szeregu brał rok po roku i oddawał mglistości jakiejś nieuchwytniej, którą nazywał ideą, albo sprawą. Nawet samej idei pan Jan nie rozumiał – walczyć o pewną przegraną, płynąć do pewnego rozbicia! A we wszystkim nieustraszoność jakaś, granicząca z bezmyślnością, rozrzutność pełna niezastanowienia i nierozwagi.

Czerski nie miał swoich osobistych potrzeb, nie miał nawet najmniejszych wymagań dla siebie.

I gdzie było jego życie? Gdzie była jego pełna dusza?

Był synem ślusarza z warsztatów kolejowych. W ośmnastym roku życia ukończył gimnazjum i wstąpił na uniwersytet. Odtąd zaczęła się jego, jak ją nazywał, „wielka robota”, niebezpieczne labirynty krecich dróg, budzenie dusz w podziemiach i podminowywanie ciemnoty. To właśnie była jego idea; jego sprawa.

Wiecznie obdarty i zawsze trochę głodny, biegał z lekcji na lekcję i jednocześnie zwoływał zebrania konspiracyjne, nosił bibułę i organizował ludzi! Trwało to cały rok. Po roku siedział już w więzieniu, w tym samym więzieniu, w którym się spotkali.

Potem kazano mu wyjechać w głąb Rosji na dwa lata.

Dwa nieskończenie długie lata przemęczył się w obcości wielkiej, poznał pożerające wszystko tęsknoty, dni zmęczone przymusową bezczynnością, noce pełne niespania.

– Było małe, dziwne miasteczko – opowiadał panu Janowi – takie typowe rosyjskie miasteczko. Parterowe, drewniane domki, szerokie, niebrukowane ulice, wydęte, złocone kopuły cerkiewne, głupie życie za ladą w sklepiku, bezmyślna chciwość i brutalna rozrzutność... Wszystko nowe, wszystko obce! Ani jednego skrawka muru z przeszłości, ani jednej cegły! Cała historia tej ziemi, cała przeszłość przyczaiła się w borach ciemnych legendami o zbójcach, śpiewaniem podobnym do płaczu. I kazano mi żyć w tej obcości. Co tydzień musiałem chodzić do policmajstra. Policmajster był pijanica i awanturnik. Przychodzę raz do niego, a on biega po pokoju i zatacza się. Spozrzegł mnie i krzyczy: „Ty, taki synu, nowe spiski knujesz, o nowych złodziejstwach myślisz! Wiem... wiem o wszystkim!” Krew zalała mi mózg... „Jak ty śmiesz, kanaljo jakaś!” krzyczę nieprzytomny, a on do mnie z pięściami. I nie wiem, jak to się stało, że lunałem go w pysk! Jak z pod ziemi, wyrosli przede mną policjanci, rzucili się na mnie i zaczęli mnie bić po piersi, po głowie.

Westchnął głęboko i zamyślił się.

– Potem wsadzono mnie do więzienia, a po roku wysłano etapem na Syberję. A wiecie, Syberja to biały grób, mogilnik zasypany śniegami.

Pan Jan cierpiał, słuchając tej smutnej Odyssei swego towarzysza.

Ale Czerski nie zginął, po roku uciekł z Syberji wschodniej do Lwowa i wstąpił tam na politechnikę. Wkrótce jednak nastął taki czas, że nie mógł usiedzieć we Lwowie. Za kordonem zakotłowało się wszystko piekielnie. Cała robota podziemna jego i jego towarzyszków wyszła na ulicę głośnym protestem. Ludzie przestali pracować, jeść, pić i spać. Daleki jakiś zew padł hasłem na ludne rynki miast i na spokojną cichość wsi. Czerskiemu wydawało się, że przyszedł czas, którego czekał, więc pod cudzem nazwiskiem przebył kordon.

Ale to nie był jeszcze czas...

Czerskiego aresztowano znowu. Cały miesiąc na badaniach milczał uparcie, przyciśnięty jednak do muru, przyznał się do swego nazwiska.

– Musiałem się przyznać – tłumaczył się przed panem Janem. Nie było żadnej rady, dowiedli mi, że ja, to ja... Zrazu sprowadzili ojca, pokazują mu moją fotografię i pytają: „Kto to?” Ojciec mój, stary lis, patrzy, niby nie poznaje: „Che... che” – mówi – gdyby nie te oczy i włosy, to akurat mój syn”... „A jakie oczy ma syn?” „Małe...” „I ten ma małe” – mówi żandarm, a ojciec, niby nic. „Syn ma mniejsze...” – powiada. A potem przyszedł na badanie rotmistrz, ten sam, który mnie niegdyś badał, i mówi: „Widzę, że mnie pan Czerski nie poznaje...” A kiedym się przyznał, że to ja, to jestem ja, aż podskoczył na krześle: „Nu wot i charaszo...” i odrazu zmienił ton i zaczął mówić po rosyjsku...

Słuchając tych opowiadań, pan Jan myślał o sobie i o swojej sprawie. Nie chciałby być za nic w świecie Czerskim i mieć taką sprawę, jak on!

Zwykle zaczynali rozmawiać, kiedy na kurytarzach zalegała cisza i wczesna więzienna noc wchodziła do cel.

Ranek upływał im na czytaniu. Mieli jakieś stare, czytane już niegdyś przed laty, książki. Książki te chodziły po więzieniu z rąk do rąk i miały wewnątrz pełno znaków, które pan Jan odcyfrowywał zawzięcie. Samotnicy z sąsiednich cel przekazywali tam swoje nazwiska nieznanym sąsiadom. Czasem spotkało się jakąś bolesną historię, jakiś krzyk zaklęty w podkreślone leciuchno litery.

O pierwszej przynoszono obiad, składający się z rzadkiego kapuśniaku, albo obrzydliwego, czarnego krupniku, po którym pływały tłuste oka łoju, i kawałka ciężkiego chleba.

Najbardziej dłużył się czas po obiedzie, aż do zamknięcia drzwi na klucz. Książka wypadła z ręki, a minuty sunęły, jak ciężkie, znużone ptaki, nieraz nawet zdawało się, że się cofają.

Dopiero o szóstej, kiedy zamykano cele na klucz, robiło się różniej. Na kurytarzach zaplanowywała wielka cisza. Słyszeć było tylko stłumione pukania i szepty – to więźniowie porozumiewali się między sobą.

I Czerski codziennie rozmawiał ze swoim sąsiadem.

Sąsiadem tym był Bieda.

Kim był Bieda z fachu, czym się trudnił, z czego żył przed aresztowaniem, ani Czerski, ani pan Jan nie wiedzieli. Natomiast wiedzieli, że Bieda był bojowcem, że złapano go podczas strzelaniny ulicznej z brauningiem w rękę i że prawdopodobnie będzie oddany pod sąd wojenny.

Pan Jan parę razy spotkał na kurytarzu Biedę. Przy pierwszym zaraz spotkaniu odrazu domyślił się, że to właśnie musi być ten Bieda, tak dziwnie harmonizowało jego nazwisko z wyglądem. Był niezmiernie długi i cienki i nosił jakąś bardzo szeroką, spłowiałą marynarkę i bardzo szerokie, wytarte spodnie. I buty miał tak duże, że chodząc, szurzał nogami po podłodze, co sprawiało wrażenie, że chodzenie jest dla niego pewnym wysiłkiem. Głowę miał nieproporcjonalnie małą do wzrostu, osadzoną na długiej, żylastej szyi, a ostro ścięty podbródek

nadawał twarzy jego jakiś ptasi wygląd. Mówiąc, pluł na wszystkie strony i wówczas wargi kurczyły mu się dziwnym grymasem, obnażając żółte, prawie czarne zęby i nabrzmiałe dziąsła. Idąc, mrużył oczy, tak jakby nic nie widział. Podczas, jak mówił, wsypy, kiedy bronił się zawzięcie, stłuczono mu okulary. Miał jeszcze na twarzy z prawej strony bliznę czerwoną od szkła.

Wieczorem zwykle, ledwo zamknięto drzwi, już Bieda pukał:

– Dzień dobry...

Czerski brał szczotkę do zębów, siadał wygodnie na posłaniu i odpowiadał. W pukaniu obaj mieli wielką wprawę, tylko Bieda tak starannie i dokładnie wypukiwał każdą literę i tak długie układał zdania, że Czerski irytował się i kłął. Widocznie Bieda lubił dokładność, bo po „dzień dobry” zwykle pukał.

– Co u was słyhać nowego?

Ostatniego wyrazu nigdy nie mógł dokończyć, gdyż Czerski przerywał mu gwałtownie:

– Nic...

Tynk leciał ze ściany pod uderzeniem szczotki i po tem krótkim „nic” nastawała dłuższa przerwa. Musiał odsapnąć i poskarżyć się panu Janowi na niezdarność Biedy.

– Co za osioł! – wykrzykiwał. – Nie umie uszanować cudzego czasu!

Bieda zaś, nie słysząc narzekań Czerskiego, niepytany pukał w dalszym ciągu:

– Bo u mnie nic nowego nie słyhać.

Czerski na to już tylko wzruszał ramionami i zaczynał biegać po celi.

– Sam pyta i sam na pytania odpowiada – mruczał z politowaniem.

Powtarzało się to prawie codzień.

Bieda musiał być bardzo biedny. Pewnego wieczoru prosił, żeby mu oddawali chleb, którego nie jedzą.

– Jeść mi się ciągle chce – pukał powoli.

Innym razem upominał się o kawałek cukru, to znów skarżył się, że nie może wysłać listu do matki, bo nie ma na marki.

Otrzymałszy rzecz żadaną wieczorem, pukał:

– Dziękuję.

Raz zatrzymał pana Jana na kurytarzu i zwierzył mu się, że strasznie żałuje brauninga, który odebrano u przy aresztowaniu.

– Fajniśta była maszyna – mówił, mrużąc czy – w rękę siedziała, jak ułał.

– Idjota! – myślał pan Jan potem – już przeszło rok siedzi w więzieniu, a żałuje brauninga. Całe życie to nic, tylko szkoda brauninga!

Bieda jednak nietylko myślał o brauningu. Wiedział, że go przewiozą do cytadeli i strasznie bał się cytadeli.

Nieraz pukał:

– Byle tylko nie cytadela.

Czerskiego gniewał ten niewytłumaczony niczem strach Biedy.

– Czego on się boi? – dziwił się przed panem Janem. – Tu siedzi wiecznie głodny, a tam go przynajmniej nakarmią.

– Dziwna rzecz – mówił raz pewnego wieczoru – nie rozumiem, dlaczego każdy z aresztowanych boi się cytadeli. Siedziałem tam dwa miesiące. Z piekła, jakie tu mamy, wpadłem w wielką ciszę. Zdawało mi się narazie, że wszyscy pozamykali drzwi i poszli gdzieś na wały, daleko, nad Wisłę. I pozostawili mnie samego w spokoju... Nikt nie rozmawia, nikt nie chodzi...

Tylko tam gdzieś nadole idą żołnierze: raz! dwa! raz! dwa! albo śpiewają dziwnie obco:

A bumażenki wsio nowyja.

Dwadcatipiatirublewyja –

Bumażenki! uch, ja!

Chwyci was wówczas za gardło jakiś spazm i zdusi. Słyszeliście to gdzieś i nie wiecie gdzie. Raz! dwa! raz! dwa! C-y-t-a-d-e-1-a – przesyłabizujecie sylabę po sylabie i ujrzyecie między sobą a całym światem ogromną fosę, wielki rów ocembrowany i najeżony bagnietami, wielki rów bez mostów.

Mówił cicho, zdawało się rozpamiętywał jakiś swój dawny smutek i dzielił się nim z panem Janem.

– Przywieźli mnie tam późną jesienią, przed zmierzchem. Pamiętam wszystko. Miałem duży pokój bardzo pusty. Po ścianach dookoła wił się różowożółty lampas, cały brudny, opluty... Podłoga była czarna, asfaltowa. Pośrodku widniała na niej ciemna plama, gęsta i tłusta. Myślałem, że to krew...

Umilkł. W celi był już mrok zupełny – przez okno tylko sączyły się blade odbłaski łuny, która stała nad miastem. Z dołu dolatywały miarowe kroki szyldwacha.

– Potem przekonałem się, że to nie była krew, bo plama po kilku dniach zginęła – mówił w dalszym ciągu Czerski – w oknie dwie szyby dolne były faliste, zielonawe, zdawało się zatopione w wodzie od zewnątrz. Przez górną tylko widziałem kawał nieba i nagi wierzchołek drzewa. Czasem od Wisły przychodził wiatr i zaczynał trząść suche, czarne gałęzie i wówczas zdawało mi się, że na dolnych szybach od wiatru faluje woda i że lada chwila zaleje całą moją celę.

Pan Jan wpatrywał się w mrok i widział całą celę zalaną wodą.

A Czerski mówił coraz ciszej, półdrzemając:

– I nic... i przyzwyczałem się.

W końcu kurytarza, w jednej z ostatnich cel, zaczęły dzwonić kajdany, po szarym chodniku przez cały kurytarz pełzło drobne dokuczliwe dzwonienie i zgrzytało w uszach pana Jana coraz boleśniej i coraz żałośniej...

* * *

Pan Jan pisał pamiętnik. Rzucił na papier myśli bez dat, skracał czas pisaniem.

W miesiąc po aresztowaniu pisał:

.....

Czwarty tydzień mija... Wszystkie bunty ułożyły się gdzieś głęboko na dnie duszy... Głową nie rozbiję muru...

W sąsiednich celach kajdany dźwięczą,
w okienku słońce siadło na kracie
i krzyczy żywych promieni tęczą:
„Powieś się, bracie! powieś się, bracie!”

Piszę wiersze... To źle...

.....

Czuję, że wsiąkam całem swoim jestestwem w beznadziejną szarość więziennego życia. Dni zupełnie jednakowe, zupełnie do siebie podobne, po nocach śnienia jakiegoś przelęknione...

Otoczyli mnie jacyś dziwni ludzie. Zdaje mi się, że siedzę w domu warjatów. Czego oni chcą? Czy można tak żyć? Nie nie rozumiem.

.....

Maryniu! Maryniu!

Wołam ciebie po imieniu w nocy, kiedy wszyscy śpią. Zdaje mi się, że wówczas rozmawiam z tobą.

Ale ciebie niema!

Oddaliłem się od ciebie w szarość jakichś głuchych zakratowanych kątów, w niepomiarną tęskność i ból.

Przez mury czuję twój dech i widzę twoje oczy przez kraty.

Dokoła kajdany dzwonią... ktoś szlocha...

Wolno pełzną godziny... noc idzie...

Maryniu! Maryniu! noc idzie... Położyła swoje miękkie, czarne ręce na moim sercu i liłjowemi oczyma patrzy w moje oczy.

Jak się nam nie udaje życie!

.....

Dziś śniło mi się, że uciekłem z więzienia. Jechałem w ciasnym wagonie do ciebie. Kryłem się po kątach i myślałem, że mnie gonią. Mieszkałaś w obcym mieście, w jakimś szarym, dużym domu. W tym domu stróżką była nasza pocziwa, stara Julja. Chciała mnie do ciebie zaprowadzić... Weszliśmy w ciemną sień, a potem na szerokie schody... Szliśmy długo, długo i nie mogliśmy odnaleźć twojego mieszkania – i ogarnął mnie strach. Nie mogliśmy odnaleźć twojego mieszkania. Obudziłem się i ucieszyłem, że jeszcze siedzę w więzieniu.

.....

Nie badają mnie... nie wiem za co siedzę i jak długo będę siedział...

Widziałem takich, którzy siedzą przeszło rok.

.....

Po co żyję nieszczęśliwy, opętany jakąś manją, Bieda? A Czerski? Oni myślą chyba, że nigdy nie umrą i że jednego życia wystarczy na wszystko.

Nie wystarczy! nie wystarczy!

Dzida ma swoje wiosny – i tęskni. A oni? Wyczarowali chorą wyobraźnią bajkę o zorzy i idą budzić ludzi, i nie wiedzą, że to nie zorza, a pożar... Ich własne domy zaczęły się już palić.

.....

Nazwał mnie dziś wstrętnym burżujem i powiedział, że takich, jak ja, należy tępić. Zdaje mi się nawet, że o mnie rozmawiał z Biedą przez ścianę, bo, pukając, zezował ciągle w moją stronę i uśmiechał się zjadliwie. Bieda również pukał dziś energiczniej, niż zwykle.

Czułem, że mówili o mnie.

Dziwna rzecz, że dotąd nie rozumiem ich pukania! Doznaję wrażenia, jakbym patrzył na obcy zupełnie alfabet – każda litera ma jakiś charakter, a niema zrozumiałego dla mnie głosu.

Ktoś tu podobno zwarzował. Już drugi dzień z rzędu słyszemy nieprzytomny śmiech. Beład jakiś obłądny płacze się po kurytarzu... Żandarmi biegają i krzyczą na kogoś podniesionym głosem.

.....

Dziś spacerowaliśmy bardzo wcześnie. Było mglisto i ciepło. Mgła stała nad nami białą kopułą, podparta czarnym dachem więzienia i nagimi różgami drzew.

Był dokoła wilgotny zapach ziemi i ziarna i dymu.

Przypomniała mi się wieś. Wydało mi się, że stoję pod naszym starym spichrzem.

Tam tak wilgotnie pachną ziarna.

.....

Ten śmiech warjata przechodzi w bolesną czkawkę i staje się podobnym do szczekania psa.

.....

– Czyż naprawdę nigdy nie mieliście żadnego buntu w sobie? – zapytał mnie dziś Czerski. Oczywiście nie odpowiedziałem nic.

– Słyszycie ten nieprzytomny śmiech? – dodał po chwili. – Takich ofiar pełno!

– Więc co?

Nie rozumiem, czego on ode mnie chce.

Nie rozmawiamy ze sobą.

.....

Dziś wywieźli warjata.

Był to student Falski. Przeczytał akt oskarżenia i zwarzował.

Będzie również wręczono w tych dniach akt oskarżenia.

Będzie go sądził sąd wojenny.

.....

Wczoraj wieczorem wezwano mnie do badania. W małym, brudnym pokoiku siedział oficer żandarmów. Usiadłem przy tym samym stole. Zapytał mnie, jak się nazywam, gdzie mieszkam, etc. Pokazał mi dwie fotografie ludzi, których nie widziałem nigdy.

– I pan nie wie, kto to?

– Nie...

Patrzyłem na swoje ręce.

– Nus... – mruzczał żandarm i kazał odprowadzić mnie do celi.

.....

Wczoraj był prawdziwie wiosenny wieczór. Staliśmy długo w oknie, zapatrzeni w różową dalekość nieba.

Każdy z nas coś sobie przypominał.

Myślałem o Maryni, o Nice – Czerski mówił o sobie. Położył przede mną swoją smutną i szarą historję, otworzył swoją biedną duszę.

Doznałem uczucia, że rozpełzły się po mnie jakieś duże i szare pająki.

Matki nie pamięta. Miał przed laty jakąś fotografię kobiecą. Ojciec, prosty rzemieślnik warsztatowy, mówił mu, że to matka. Oczy patrzące, jak dwa trupie oczodoły, blada, zatarta twarz, wiążą się we wspomnieniach Czerskiego z pojęciem matki.

Była suchotnicą. Czerski po niej odziedziczył suchoty.

Mieszkał z ojcem prawie na końcu miasta, w ciemnym kącie wysokiej i brudnej kamienicy. Jeden mały pokój z kuchenką... brudna sień... brudne schody...

W szkole uczył się źle...

.....

Coraz cieplej na dworze i dni coraz dłuższe. Przez blachy w oknach i przez kraty sączy się wiosna. Dzida pobladł i posmutniał, Kotek chodzi szary, jak ziemia.

Dziś zaczę pisać list do Maryni.

* * *

Pan Jan nie wszystkie swoje myśli przelewał na papier. Były takie, które budziły się w szarem milczeniu nocy i bezpamięcią zasypiały w głowie, i takie, których nie można było nie pamiętać i których nie można było wśród wiecznych szpiegowania i podpatrywania na papier kłaść, bo miały w sobie wstydliwą i skrytą tajemniczość spowiedzi.

Powtórnie przeżywał swoje życie. Przed oczami jego przesuwały się obrazy wyblakłe, zartarte w pamięci, i na tle szarości więziennej nabierały kształtu, barwy i ruchu. Nieraz czuł przy sobie łąki skoszone, nieraz widział twarz jakąś znajomą i bliską. To znowu w nocy ktoś wołał go po imieniu, i pan Jan zrywał się z posłania i patrzył w mrok sklepionej celi. Wówczas wracała świadomość, że siedzi w więzieniu.

Jakto? on, Jan Downar, miałby siedzieć w więzieniu?

Za co? Dlaczego?

A wspomnienia szły – i całe życie przesuwało się przed oczami. Istne żywe obrazy.

Zatracona w borach, daleka i cicha wieś litewska... mały kawałek ziemi, zupełnie odgrodzony od świata! Dom... pokoje niskie, obszerne, prawie puste... Pod oknami bzy i jaśminy, pod oknami szary ostrokół. Wilgotna altana pod szerokim dębem, owocowy sad, ogrody warzywne, pełne słońca i pszczelnego brzęczenia, i wielki las, przepaścisty, puszcza zwany.

To pierwsze dziesięć lat.

Potem mała, różowa kamieniczka w rynku wielkiego, jak mu się wówczas zdawało, miasta. Na pierwszym piętrze stacja uczniowska – cztery odrapane i brudne pokoje z dużymi stołami pośrodku i z łózkami pod ścianą. Parapety okien powalane atramentem, tapety porysowane i pooddzierane.

Nawet na taką ubogą stację ojcu nieraz brakowało pieniędzy – ziemi było mało, trzypolowa gospodarka procentowała źle.

W szkole Janek poznał nowe życie. To nowe życie było bez drzew i jaśminów, pełne ludzi obcych. Nauczył się nawet mówić jakimś obcym językiem i myśleć zupełnie inaczej, niż w domu. Ani w szkole, ani na ulicy nie wolno było mówić po polsku – i Janek nie mówił po polsku...

Tak przeszło siedm lat – i Janek uzyskał maturę. Ostatnie dwa lata mieszkał na innej stacji, przy ulicy Sobornej, która się ongi Dominikańską nazywała, w trzypiętrowej kamienicy, u pani Stepanidy Kuźmińskiej.

Pani Stepanida Kuźmińska była wdową po wpływowym niegdyś urzędniku, który za uśmierzenie buntu polskiego podobno otrzymał order.

Do pani Stepanidy przychodził dość często djak Ilja. Ilja był siostrzeńcem pani Stepanidy i czuł się u niej, jak w domu. Wypijał całe samowary herbaty, palił długie, obrzydliwe papierosy, grał na bałajce i śpiewał. Głos miał melodyjny, głęboki i uroczy, podobny do grania dzwonów waldajskich.

Od Ilji Janek nauczył się palić, a potem pić. Wymykali się wieczorem do małego szyneczku, w którym Ilja miał poważanie i kredyt. Siadali w ostatnim pokoju na brudnej i zatłuszczonej kanapie i wypijali całą butelkę wódki. Przed każdą nową kolejką Ilja trząsał rudą grzywą, odrzucał w tył głowę i przemawiał:

– Nu, brat, wypjem!

A po szóstym kieliszku obcierał zwykle usta rękawem wytartej i zniszczonej sutanny i zaczynał śpiewać:

W tom lesu saławiėj
gromko piëśni pajõt.

Potem mrugał na Janka znacząco i kończył:

Maładaja wdawa
w chutoroczkie żywiõt...

Wprawdzie Janek wówczas jeszcze nie rozumiał, dlaczego Ilja nań mruga, udawał jednak, że rozumie i śmiał się.

Ilja był dobrym chłopakiem. Pani Stepanida utrzymywała, że gdyby się chciał ożenić, byłby już dawno djakonem. Ale Ilja nie chciał się żenić i lubił pić.

Palenie papierosów i te prawie cotygodniowe wycieczki do szynku były jedynymi nielegalnymi czynami Janka, a po uzyskaniu matury i one stały się legalnymi.

Na uniwersytet Janek chciał jechać do Warszawy, Ilja mu jednak odradzał.

– Co ci po Warszawie? – mówił – wygonią cię z pierwszego kursu. U nas, bracie, tak – ty polak, to jedź do Rosji; tam polak, czy ruski to wszystko jedno.

I Janek pojechał do Kazania.

Był już panem Janem – miał wąsy i chodził w studenckim mundurze. Wkrótce też musiał myśleć o sobie, bo w pierwszym roku studjów umarła mu matka, w drugim – ojciec. Niewielki mająteczek sprzedano za długi, i pan Jan na czwartym kursie znalazł się zupełnie bez środków do życia. Miał wprawdzie bogatą ciotkę, ale ciotka była skąpa i nie lubiła go.

Zaczął przeto pan Jan dawać lekcje, a po ukończeniu studjów uniwersyteckich objął w Tambowie posadę w akcyzie.

Zamieszkał w małym domku, odgrodzonym od ulicy małym ogródkiem kwiatowym. Miał dwa niewielkie pokoiki umeblowane ubogo, prawie po studencku. Tęga, ospowata baba, Awdotja przychodziła zrana i wieczorem nastawiać samowar, oczyścić ubranie i sprzątnąć pokoje. Awdotja lubiła pić i przychodziła czasami pijana. Wówczas samowar pachniał naftą, a ubranie było brudniejsze, niż przed czyszczeniem.

Wieczorem nieraz wpadał któryś z kolegów – i wówczas Awdotja nastawiała większy samowar i wydobywała z szafy arak.

Z małego grona swoich kolegów pan Jan najwięcej lubił Kanarejkina – przypominał mu bowiem Ilję. Kanarejkin był synem popa i seminarzystą i, jak Ilja, śpiewał przedziwnym głosem.

Jeździli nieraz latem w łódce przez błękitny rozlew rzeki, i wówczas Kanarejkin zaczynał śpiewać, a pan Jan kładł się na dnie łódki i słuchał. Czarowało go coś wówczas dziwną melancholią, pieściło tęsknotą aż do płaczu. Ktoś bliski pochylał się nad nim i znajomym głosem wołał go po imieniu.

– To ty! to ty!

Nie wiedział sam, co to było, czuł jednak coraz wyraźniej obcość tego śpiewu, obcość tej wody błękitnie rozlanej i tego miasta za wodą, pełnego kopuł złoconych i murów monastyrskich.

I zaczął tęsknić.

Śniły mu się chabry w życie, karłowate grusze na miedzach, białe kościółki i białe dworki, pod opieką lip stuletnich i sadów kwitnących.

Pod wpływem tych tęsknot zauważył, że wsiąka całym swoim jestestwem w to życie urzędnicze, ubogie, obce, pełne bezmyślności i zastoju. Więc coraz widoczniej zaczął się odsuwać od kolegów i stronić od przyjaciół. Przestał sam bywać u nich i zapraszać ich do siebie na herbaty. Natomiast zajął się czytaniem. Prawie wszystkie oszczędności zaczął wydawać na książki. Nęciła go głównie historia i sztuka. A ledwie dotknął historii Polski, zaczął myśleć nielegalnie.

Wówczas pierwszy raz w życiu poczuł w sobie bunt i postanowił zrzucić z siebie mundur urzędnika i powrócić do kraju.

Traf mu dopomógł. Ciotka umarła i pan Jan od razu stał się człowiekiem bogatym. Podał się do dymisji, zlikwidował majątek ciotki na Litwie i zamieszkał w Warszawie.

Tu powoli zaczęły zeń opadać wpływy obce, obudziły się nowe uczucia, nowe myśli. Czuł wybornie, że się przeradza, ale będąc człowiekiem bogatym, dotykał zewnętrżności, żył tylko połową życia. Na drugą połowę, w której właściwie była dusza narodu, pan Jan miał oczy zamknięte. Nie widział podziemnej pracy, zmagania się, walk. Był najczęściej zajęty sobą samym, myślał, że go wszyscy lubią i, jak pusty pęcherz, płynął po wierzchu wody.

Chciał się dać poznać, wypowiedzieć – i nie miał nic do powiedzenia. Chciał zostać artystą, przekonał się jednak wkrótce, że nie ma talentu, próbował pióra i tu jednak, niestety, przekonał się, że nie umie pisać, więc został, tak zwanym mecenasem sztuki. Nie zauważył sam, jak i kiedy wszedł w świat artystyczny. W bardzo krótkim czasie był już z najwybitniejszymi artystami po imieniu, wyświadczał im drobne usługi i naprawdę jednał sobie powoli ogólną sympatię. Nazywali go dyletantem, kabotynem, fuszerem, lubili go jednak wszyscy.

W tym czasie na jakimś balu wiosennym poznał Marynię. Zakochał się od razu.

Była córką kupca kolonialnego i miała ośmnaście lat. Po balu owym spotkał ją raz jeszcze w teatrze i potem zaczął bywać w domu jej rodziców.

Kochali się spokojnie, po mieszczańsku. Żadna zdrożność nie łączyła ich słodką tajemnicą. Spotykali się na majówkach i na herbatkach pod czujnym okiem mamy i pobożną opieką ciotki Anusi, która pół dnia spędzała w sklepie rodziców Maryni, jako kasjerka, a drugą połowę poświęcała Maryni.

W końcu września odbył się ślub. Pan Jan wynajął małe mieszkanko w narożnej kamienicy z balkonem na Wisłę i z sypialenką na wschód. Urządził je z ogromnym przepychem. W saloniku były meble w stylu Ludwika któregoś, na ścianach wisiały obrazy bogato oszpecone złotymi ramami, po kątach na mahoniowych słupach stały białe rzeźby, harmonijne jakieś przegięcia pięknych ciał, marmury i gipsy, zaczarowane opłotem miłosnych pieśczęt. W sypialence stały mahoniowe łóżka i leżał miękki dywan różowy, na który z okien spadały ażurowe firanki i ciężkie, ciemne zasłony.

Pan Jan zapraszał nieraz do siebie na nowe gospodarstwo przyjaciół artystów. Więc przychodził malutki, cały pokurczony śmiesznie, profesor filozof i poeta o żółtej twarzy, ginącej w szarym kołnierzyku i o długiej żółtej grzywie, spadającej na zatłuszczony kołnierz starej marynarki, i malarz z dużą kokardą pod brodą, o którym filozof mówił, że ma coś w sobie z Boga i z wieprza, jeszcze kilku bezdomnych cyganów, którzy tak, jak pan Jan, załamali się na progu kariery artystycznej, ale nie mieli tak, jak pan Jan, pieniędzy. Siadali wygodnie na fotelach w stylu Ludwika któregoś, napełniali pokój dymem i wrzawą.

Marynia zrazu bała się trochę tych sławnych ludzi, których nazwiska знаła z pism, przekonała się jednak wkrótce, że nie są tak niedostępni i wielcy, jak myślała. Umieli pleść trzy po trzy i śmiać się, jak dzieci, a Marynia sama była jeszcze dzieckiem i śmiała się z nimi i plotła trzy po trzy.

Po roku przyszła na świat Nika i wkrótce mieszkanie pana Jana było pełne szczebiotu i prawdziwego dzieciennego śmiechu. Zdawało się, że przez ażurowe firanki do mieszkania pana Jana weszło słońce i położyło się złotą plamą na różowym dywanie.

A potem przyszła rewolucja w czerwonych butach.

Po mieście zaczęły kursować opowiadania straszne i krwawe. W styczniu wybuchł powszechny strajk, miasto pogrążone w ciemnościach zamarło i tylko we dnie mrowiem szarego tłumu wysypywało na ulicę. W maju, w cudnym miesiącu maju, otoczono jedną ulicę wojskiem, odcięto wszystkie przejścia i strzelano do ludzi. W maju, w cudnym miesiącu maju, śmierć, jak upiór, chodziła po ulicach i krwawymi łapami znaczyła krzyże na bramach domów i na szarych parkanach, okalających puste place. A ludzie oglądali się trwożnie i czekali nocy jeszcze straszniejszych.

Panu Janowi wówczas zdawało się nieraz, że leży na dnie łódki i słucha śpiewu Kanarejki-na... Tak! to jego głos! To głos tej dalekiej, obcej ziemi!

Na wielkim, czarnym stepie stoi czerwona zorza... wielka luna... krew... Na białych murach monastynu, na złotych kopułach cerkiewnych stoi czerwona zorza... krew... Jakiś olbrzym w czerwonej rubasze, jakiś potwornie duży i szary, jak ziemia, chłop o długich, żyłastych rękach i czerwonej, kudłatej brodzie, rozkołysał odwieczne dzwony monastyrskie, ulane w Wałdaju, w starym Wałdaju. I dzwony zaczęły wyć, i dzwony zaczęły jęczeć w czerwona zorzę... w krew... Ach, nie! to nie dzwony jęczą, nie dzwony wyją! To jęczy ten czerwony, kudłaty chłop i ten biały monastyr, i ten czarny bezkresny step. A z borów drzemających, z wędolców polnych i z jarów mrocznych patrzą liljowe oczy nocy, która nietoperzowemi skrzydłami mroków tłumi te jęki i płacze chłopca i ziemi.

– Rewolucja! Rosyjska rewolucja! – powtarzał pan Jan i czuł, że on jeden z całego otoczenia zna Rosję, że on jeden wie, co to jest ta rosyjska rewolucja. Więc wszystkim z akcentem pewnej wyższości opowiadał o Rosji, powtarzał jakieś bajki o ludziach i o ziemi, i jednocześnie sam, jak dziecko, bał się tej bezładnej rosyjskiej rewolucji. Po nocach budziły go ze snu złe zmyślenia i dręczyły złe przecucia. Chciał już wszystko porzucić i wyjechać zagranicę, Marynia jednak uparła się i za nic nie chciała na to przystać.

– Nie można, Janku! – powtarzała, ilekroć wspomniał jej o wyjeździe – jakże tu rodzice zostaną sami?

I pan Jan kapitulował.

Pomimo strachu, pozował na bohatera, popierającego czynnie rewolucję, udzielał nawet kilka razy swego mieszkania na zebrania partyjne; raz nawet przechowywał przez cały dzień u siebie kilka pudów nielegalnych druków.

I teraz, siedząc w więzieniu, robił sobie gorzkie wyrzuty, że zabrnął tak daleko w tę niebezpieczną robotę i czekał z przerażeniem na drugie badanie. Przypominał nawet sobie, że te twarze, które oglądał na fotografiach podczas pierwszego badania, były mu znane. Byli to niewątpliwie ci, których widział u siebie w mieszkaniu.

– Socjaliści, tacy, jak Czerni... – myślał ze zgrozą.

Czerniemu jednak nie przyznał się do swoich obaw – nie śmiał o tem mówić w więzieniu.

Czekał z trwogą na drugie badanie.

Mijały jednak tygodnie, a pana Jana nie wzywano ponownie.

II.

Wiosna, pełna rozkwitu i słońca, coraz natarczywiej pukała do czarnej bramy więziennej.

– Kto tam? – pytał odźwierny strażnik i niechętnie odsuwał ciężką, żelazną zasuwę z małego okienka, umieszczonego na wysokości oka.

Na ulicy jednak było pusto zupełnie, tylko na betonowym chodniku pod bramą więzienną siedziało wielmożne, majowe słońce.

– To ja... to wiosna... – odpowiadało słońce i kłóło blaskiem czerwone i napuchnięte oczy strażnika.

– Ubirajsia! – mrucał gniewnie strażnik i powracał do swego minjaturowego domku, przyklejonego niezgrabnie do szarego muru okalającego więzienie. W minjaturowym domku była tylko jedna krótka ławka, na której można było siedzieć niewygodnie.

Strażnik siadał i myślał.

Już szesnasty rok dobija się tak wiosna do więzienia, a on siedzi wciąż skulony na tej ławce i, jak pies, pilnuje bramy.

Szesnaście lat tak przesiedzieć!

Nalewo, jak duży, szary pająk, stoi więzienie, naprawo wysoki, ciemny mur. Pod murem przykucnęły nisko, niziutko, karłowate jakieś krzaki – ni to jaśminy, ni to bzy. Ilja Fomin siedzi tu już szesnaście lat i nie wie, jakie to krzaki. Wie tylko, że nie kwitną i że nawet w maju mają szare i pokurczone liście.

Pośrodku między wysokim murem a gmachem więziennym, chodzi coraz to inny szyldwach w szynelu, z karabinem na ramieniu. Ilja Fomin przez szesnaście lat słucha tych miarowych kroków... raz, dwa... raz, dwa...

– Nu jowo! – myśli Ilja. – Niech chodzi! A wiosna coraz natarczywiej dobija się do więzienia, zagląda przez mur, chwyta za ostry bagnet karabinu.

– Ubirajsia... – mruczy pod nosem Ilja Fomin i zaczyna drzemać.

A wiosna, korzystając z drzemki Ilji Fomina, wchodzi przez mur na podwórko więzienne, kładzie się na karłowatych krzakach pod murem i siada na czarnych, kamiennych schodach, prowadzących do pustej, czarnej sieni.

A ledwie usiadła, wnet zaczyna śmiać się i krzyczeć:

– Wiosna... wiosna...

Więźniowie przyciskają nabrzmiałe, żółte twarze do krat i patrzą w górę, w niebo i mówią do siebie radośnie:

– Wiosna... to już wiosna... I nagle robi im się wesoło aż do łez. Jeden zapłakał, drugi... Każdemu dziwno, każdy mówi, że to wielmożne słońce kłóje w oczy.

Któregoś dnia wieczorem Bieda wypukał:

– A wiecie, że to już wiosna. Gdyby tak prędzej wiedzieć!

– Go? – zapytał Czerski.

– Wyrok... – odpowiedział Bieda i słysząc było, jak zaczął biegać po pokoju.

Nazajutrz wieczorem pukał znowu:

– Przynieśli kawał gazety. Jest sprawa za strzelanie do patrolu. Tylko katorga!

Pukał gwałtownie, prędko, znać było, że jest wzruszony.

Po chwili dodał:

– Myślałem, że za to wieszają.

Był rad. Chodził po celi prędko i gwizdał. Jakaś skoczna i jednocześnie bezbrzeżnie melancholijna melodia tłukła się za ścianą, jak ptak w klatce:

Nie wyganiaj, owcarecku,
owiec na runie...

Gwizdał Bieda – i w celi zrobiło się nagle ciasno, aż do płaczu. W mroku coś zaczęło nad panem Janem skrzydłami bić.

Czerski zaczął nucić:

Nie wyganiaj, owcarecku...

Przez zamknięte drzwi głosy wypełzły na długi korytarz i zaczęły na szarym chodniku tańczyć oberka:

Nie wyganiaj... nie wyganiaj...
O... o...

– O... o... – odpowiedziało echo w końcu korytarza – nie wyganiaj... o... o...

Dzida zerwał się z posłania, przyłożył ucho do drzwi i słuchał. Nabrzmiała, kwadratowa twarz jego rozszerzyła się uśmiechem od ucha do ucha, małe oczy zaszyły mgłą rozradowania.

Bo ci owce wyzdychajom,
ciebie zabijom, psiajucha!
ciebie zabijom... –

ryknął na cały głos i zatupał nogami w takt oberka.

I już nie mógł spać... włożył na taboret i przycisnął twarz do kraty.

Boże wielki! taki mały skraweczek nieba! tylusieńki, co ten palec u ręki! Jeszcze tam kajść jest słońce, a tu już mrok wielgachny. Biała blacha stoi w oknie, żeby słońce nie patrzyło na takiego zatraconego złodzieja, jak Dzida...

Że Dzida złodziej, to każdy wie... Sam Dzida już teraz nie pamięta, który raz siedzi i ile złodziejstw popełnił... Tak, pewnikiem połowę życia już przesiedział. Połowa życia, to zdaje się wiele, ale kto ma takie biedne i złodziejskie życie, jak Dzida, dla tego połowa życia, to niewielka rzecz.

Żaden paser nic za nią nie da.

Wszyscy myślą, że Dzida lubi więzienie, bo każdemu się wydaje, że tylko jemu samemu jest źle. W więzieniu każdy myśli o sobie tylko i nikt nie wie, co myśli Dzida.

A Dzida w więzieniu od rana do nocy pracuje, jak wół, i dobrego słowa nie słyszy.

– Ty, co tu robisz, taki synu! – krzyczy na niego Lisica, wówczas, gdy on nic nie robi.

– Ty i tutaj kradniesz! ja wiem! – a Dzida nic nie kradnie, bo i cóż można kraść w więzieniu.

Dzida wie, że Lisica nie ma racji i że jest w złym humorze. Dzida wie nawet, dlaczego Lisica jest w złym humorze.

Przed dwoma tygodniami żona powiła mu syna. U Lisicy w domu była wówczas uroczystość niezwykła. Przyszedł teść Własow, stary żandarm z cytadeli, z telegrafistą z nadwiślańskiego dworca Czajką i kilka kumoszek z sąsiedztwa. A do chrztu trzymał syna i do cerkwi nosił sam Muchin, urzędnik z kancelarii więziennej, z żoną Płatonowa, miejscowego rewirowego.

Ile wódki wówczas wypili, mój Boże! Taki biedny człowiek, jak Dzida, przez całe swoje życie tyle wódki nie wypił.

W tydzień po chrzcinach Dzida dowiedział się, że mały Grisza zachorował. Lisica chodził po więzieniu zły i, jak zwykle, całą swoją złość wylewał na Dzidę.

– Nic nie będzie z twego dziecka, Makar Iwanycz – powiedział wczoraj doktor więzienny, i Lisica cały dzień pastwił się nad Dzidą.

Dzida nosił cierpliwie te przejawy złego humoru strażnika i ani razu mu nie odmruknął, bo mu było żal Lisicy.

– Niech tam moje przejdzie – myślał – pewnie mu dziecko zemrze, albo co.

Cały dzień wytrwał w tem postanowieniu, a nazajutrz zerwał się przed świtem – niepokoiła go choroba dziecka Lisicy.

Ubrał się i czekał. Lisica zwykle najpierw otwierał jego celę.

Wkrótce też usłyszał dzwonięcie kluczków i po trzasku otwieranych drzwi na kurytarz poznał, że Lisica znowu jest w złym humorze.

I w samej rzeczy Lisica był zły.

Dziecku było coraz gorzej... Skamlało przenikliwym płaczem przez całą noc i marszczyło bolesnym skurczem nabrzmiałą i czerwoną twarzyczkę.

– Pewnie umrze... – myślał Lisica – Tfu! do czorta z taką służbą!

Zatrząśł gniewnie kluczkami i szarpnął drzwi.

Pod drzwiami stał Dzida.

– A ty czego stoisz pod drzwiami? – ryknął tubalnym głosem Lisica.

– Ja... niczego... tylko słyszał, że pan naczelnik... – tłumaczył się Dzida.

– Pan naczelnik! Ja тебе pakazu pan naczelnik! – krzyczał Lisica.

Dzida zwiesił głowę i poszedł w koniec kurytarza myć się do zlewu. A Lisica, chmurny i zły, szedł od celi do celi i, odryglowując drzwi, budził więźniów.

W celach i na kurytarzu obudził się dzień. Przestępcy kryminalni, napółubrani, przychodzili z cel wszyscy razem, a gdy po upływie pół godziny wrócili umyć, Lisica zaczął kolejno wypuszczać politycznych. Robił to, milcząc, czasem tylko mruczał:

– Prachaditie – nie!zia!

– Cóż to pan Lisica dziś taki oficjalny? – zapytał Czerski, wychodząc z celi.

Lisica milczał.

Czerski wzruszył pogardliwie ramionami i przeszedł.

Naprzeciw ktoś za drzwiami zawołał ze śmiechem:

– Wasze prewaschaditielstwo, Makar Iwanycz!

Wzdłuż kurytarza pobiegł śmiech.

– Makar Iwanycz! – zaczęli tu i tam krzyzczeć więźniowie.

– Patisze! – krzyknął Lisica i zadzwonił kluczkami.

Czekał powrotu Czerskiego i pana Jana.

Przez całą jego umundurowaną oficjalność przeglądało coś prywatnego, coś bez munduru i bez tych długich kluczków. Jakaś szara zgryzota z domu.

Na dworze było słońce. Z drugiej strony więzienia, nawprost małej oficynki, w której mieszkał, był klomb z dwoma rzędami kwiatów i kilka krzaków jaśminu.

Paraska siedzi teraz pewnie w oknie i patrzy na klomb, na grędy kwiatów i na jaśminy i słyszy płkanie chorego dziecka.

– Ty, Makar, przyprowadź doktora z miasta – mówiła mu, kiedy wychodził – bo co taki nasz doktor więzienny?

I pewnie, co on umie! Aresztancki doktor! A Makar, zamiast iść na miasto po doktora, musi tu stać i odmykać i zamykać cele.

– Tfu! Do czorta z taką służbą!...

Pan Jan z Czerskim wrócili do celi. Po chwili Dzida przyszedł sprzątać – porozrzucił książki, rozsypał tytoń...

– Ty, co się tak rozbijasz? – zapytał pan Jan.

Dzida uśmiechnął się głupio i zaczął zbierać z podłogi rozsypany tytoń.

Pan Jan był dziwnie podniecony. Przez okno na kurytarzu widział dachy ozłoczone słońcem, poprzerywane tu i owdzie zielonemi plamami drzew.

Gdybyż tak wyjść w to słońce, pod te zielone drzewa!

Od paru dni nosił w kieszeni list do Maryni, „Moja droga!” – pisał między innymi – „Smutno mi bez was. Siedzę w odludnej samotni i myślę o was. Ty i Nika – wołam was po imieniu i czekam... A minuty mają długość godzin, godziny całych tygodni. Siedzę i czekam. Maryniu, dotąd wierzyć mi się nie chce, że to naprawdę ja siedzę w więzieniu. Ale to wszystko minie, Maryniu. Już się przyzwyczailem i uspokoiłem, tylko z początku było ciężko. Wycekiwałem wciąż pod drzwiami, jak pies, żeby mnie wywołali i uwolnili... Płakałem...”

Dzida przed kilku dniami wspomniiał mu, że można wysłać list na miasto, byle tam w domu zapłacili. Więc pan Jan postanowił dziś prosić go o pośrednictwo.

– Co ci jest, Dzida? – zapytał, chcąc zagaic rozmowę.

Dzida ustawił na niego swoje siwe oczy.

– A co ma być?

– Tak... myślałem...

Spojrzał na rozrzucone po podłodze książki i rozsypany tytoń.

– Nic, ino głowa mnie boli – odpowiedział Dzida i zaczął tak energicznie machać szczotką, że małe okienko przesłoniły kłęby kurzu.

Pan Jan podszedł do niego bliżej.

– Dzida – wyszeptał, pochylając się nad nim – mówiłeś, że stąd można wysłać list.

Dzida przestał kurzyć i podniósł głowę.

– Czy wiesz, jak to zrobić?

– Ojej! – zawołał Dzida, trwożnie oglądając się na drzwi.

Pan Jan obejrzał się również, ale głos Lisicy słyhać było w końcu korytarza.

– Chciałbym wysłać... co?

Dzida milczał, patrzył wciąż na drzwi niespokojnie i kiwał głową.

– Tam zapłacą – dorzucił pan Jan.

– Nie w tem rzecz... Lisica...

– Lisica daleko... – uspokajał go pan Jan, wsuwając do ręki papier złożony we czworo i zaklejony banderolą od herbaty.

– Przyczai się i podpełźnie, psia jego mać! – chowając do buta podany przez pana Jana list, mruzczał Dzida.

Lisica tym razem nie przyczajała się i słyhać było, że się zbliża do ich celi. Po chwili wywołał Dzidę na kurytarz.

Pan Jan stanął pod oknem i zapatrzył się w głęboki błękit nieba nad blachą zasłaniającą okno. Niebo było ciemne, aż szafirowe od słońca.

– Dziś jeszcze, prawdopodobnie dziś otrzyma – myślał pan Jan i cieszył się, jak dziecko. Nagle usłyszał głos Czerskiego za sobą:

– Myślę, żeście zrobili niedobrze.

– Co? – spytał pan Jan zdziwiony.

– Z tym listem, uważacie.

– Dlaczego?

– Bo widzicie, skąd wiecie przez jakie ręce będzie przechodził, zanim go waszej żonie oddadzą. Jabym tak nie ryzykował.

Czerski najwidoczniej posądzał go o nieostrożność.

– Więc co? – zawołał pan Jan podrażniony. Nie lubił, kiedy go posądzano o to.

– Jakto co? Możecie wpaść.

– Nie bójcie się, nie pisałem nic, czego nie mogliby przeczytać.

– Więc po co było pisać? – zapytał Czerski.

– Jakto?

– A tak. Pewnie pisaliście do żony, że siedzicie w więzieniu. Ależ ona wie o tem. Więc po co pisać i niepotrzebnie tylko narażać ludzi.

Pan Jan milczał.

– To są niepotrzebne romanse – zakonkludował Czerski.

Pan Jan nie oponował. Był zły na Czerskiego.

– Co jemu do tego?... – myślał. – Narażać ludzi! Romanse! Nie umie przyzwoicie wyrażać się.

Herbatę wypili, milcząc.

Po herbacie pan Jan położył się na posłaniu z książką w ręku. Udawał, że czyta, nie chcąc rozmawiać z Czerskim.

Zbliżał się czas obiadu, gdy nagle usłyszeli obaj przyspieszone kroki na kurytarzu i dzwonienie kluczków. Ktoś uciekał, ktoś kogoś gonił.

– Dzida! – zahuczał pode drzwiami tubalny głos Lisicy. – Ty co tam chowasz?

– Nic, panie naczelniku... ja... nic – tłumaczył się nieswoim głosem Dzida.

– Jakto nic? – wściekał się Lisica. – Co masz w ręku? Co?

– Nic – znowu jęknął Dzida.

– A to co?

Na chwilę zapanowało milczenie, tylko słychać było ciężkie sapanie Dzidy i nierówne dzwonienie kluczków, a potem szelest rozwijanego pośpiesznie papieru.

– To nic!? – krzyknął naraz Lisica. – To ty będziesz listy nosił, chamie jakiś! Listy?... ja ci pokażę listy!

Znać było, że jest wściekły i że przestaje panować nad sobą.

– Kto ci to dał? kto? Dzida milczał.

– Słyszysz, kto ci to dał? – nalegał Lisica. Ale Dzida milczał uparcie.

– Znalazłem – zamruczał po chwili.

– A... to ty tak!? – wrzasnął znowu Lisica.

I nagle klucze zadzwoniły głośniejsze i pan Jan wyraźnie usłyszał uderzenie... Ktoś kogoś policzkował.

Pobiegł do drzwi.

Słychać było gwałtowne szamotanie się i spadające, jak grad, uderzenia.

– Ja тебе!... – syczał Lisica przez zęby.

Dzida jęknął.

Pan Jan nie mógł dłużej wytrzymać. Dzidę bito za niego, za jego list! Wielki krzyk oburzenia wydobył mu się z piersi i napełnił usta. Potem zęby zaczęły tak dzwonić, jak klucze w ręku Lisicy.

– Otworzyć... otworzyć! – krzyczał z całych sił i bił kolanami i pięściami we drzwi, aż rygle zgrzytnęły głucho.

Nikt jednak nie otwierał drzwi.

Twarz pana Jana nalala się krwią, a w oczach stanęły łzy.

Czerski zerwał się i podskoczył do niego.

– Zwariowaliście chyba! – szeptał łagodnie – Pokaleczycie sobie ręce i nogi.

Odciągnął go ode drzwi i posadził pod ścianą.

Na kurytarzu tymczasem wszystko ucichło. Słychać tylko było czyjeś oddalające się kroki i gwałtowne szarpnięcie oszklonych drzwi.

Pan Jan z kąta, w którym usadowił go Czerski, nieprzytomnie patrzył na drzwi. Zdawało mu się, że to na niego ktoś tak brutalnie krzyczy, że to jego ktoś policzkuje i kopie. Chce się zerwać i nie może, a na twarz mu spadają wciąż, jak piekące płomienie, czyjeś brudne i twarde ręce. Potem ujrzał swój list w rękach Lisicy. Złe, bezmyślne oczy ślizgają się po jego wyęsknionych myślach, usta, zacięte chamską złością, szepcą sylabę po sylabie jego słowa serdeczne.

A Dzida siedzi teraz w swojej mrocznej celi, znieważony i obity...

Nie, to jego znieważono, to jego obito, jak psa. Dotąd czuje na policzkach swoich czyjeś twarde i brudne ręce...

Oczy napęłniły mu się łzami.

On wie, że to jego obito. I nagle uczuwa w sobie ogromną solidarność z Dzidą, z Czerskim, z Biedą, ze wszystkimi gwałconymi, ze wszystkimi znieważanymi codziennie.

Za każdymi drzwiami na tym długim, szarym kurytarzu zamknięto czyjaś krzywdę na mocne rygle i zamki, czyjeś nieszczęście.

I on, i wszyscy oni, złodzieje zawodowi, ideowcy marzyciele, mają jednakowe nieszczęście.

Łzy zaczęły płynąć po twarzy coraz obficie.

Czerski podszedł do niego i zajrzał mu w oczy.

– Czego? – zapytał szeptem i uśmiechnął się słodko.

Potem pochylił się nad nim, położył mu rękę na plecach.

– To mi dopiero! – mówił cicho i łagodnie. – Żeby płakać! Jak można?

W głosie jego drżała dziwnie słodka nuta. Pan Jan nie podejrzewał nawet, że Czerski umie tak mówić.

– Przecież i wy mieliście chwilę swojego buntu! – zawołał nagle Czerski wesoło i zaczął chodzić po celi.

* * *

Dzień przeszedł spokojnie.

Lisica musiał przeczytać list, a nie znalazłszy w nim nic podejrzanego, prawdopodobnie nie oddał go żandarmom, pana Jana bowiem nie wezwano do kancelarii.

Tylko Dzida nie pokazał się już aż do wieczora na kurytarzu.

A ledwie zmrok wszedł do celi, pan Jan usłyszał ciche pukania za ścianą. Szły w jakimś równym ordynku, to znów urywały się na chwilę. Bieda coś komunikował Czerskiemu.

Czerski odezwał się również.

Panu Janowi wydało się, że widzi ich obu, rozmawiających jakimś obcym zupełnie językiem, którego nie rozumie zupełnie. Wyrastały z mroku jakieś słowa, jakieś długie okresy, pełzły po ścianach i gubiły się gdzieś na długim kurytarzu.

Stłumione ścianą równe uderzenia Biedy przerywało prędkie i gwałtowne pukanie Czerskiego.

Znać nie mógł się z czemś zgodzić, bo wkrótce zerwał się z pod ściany i zaczął biegać po celi.

– Co za bałwan! co za idjota! – mruczał pod nosem.

Pan Jan patrzył zdziwiony.

– Co się stało? – zapytał.

– Uważacie? – zawołał Czerski – ten ma nadzwyczajne atrakcje! Cieszy się, że sprawę wyznaczono mu na pojutrze.

Włożył obie ręce w kieszenie i znowu zaczął chodzić po celi.

– Bo, uważacie, to chyba trzeba być idjotą, żeby się z tego cieszyć! – mówił po chwili. – Myśli, że go po główce pogładzą.

Znać było, że mu los Biedy leży na sercu.

– Dziwny człowiek! – myślał pan Jan – zdaje się, że nic nie czuje, a nawet los Biedy, którego nie zna zupełnie, tak żywo go obchodzi.

A Czerski mówił w dalszym ciągu:

– Każdy dzień zwłoki to dla niego prawdziwe dobrodziejstwo. Mogą znieść stan wojenny, mogą złagodzić represje. Teraz właściwie najgorszy czas, a on się cieszy, że ma pojutrze sprawę.

Usiadł pod ścianą i znowu zaczął pukać. Cała postać jego zginęła w mroku, tylko na tle jasnej plamy okna widać było czarną sylwetę jego głowy.

Pan Jan siedział nieruchomy, wsłuchany w ciche uderzenia w ścianę, wpatrzony w mrok.

Było mu dziwnie dobrze. Nie miał nigdy brata i nagle poczuł, że Czerski jest mu bratem. Już teraz wiedział napewno, że gdyby go spotkało nieszczęście, Czerski tak samo martwiłby się i bolał, jak teraz. Prócz Maryni i Niki – on jeden.

Po chwili Czerski przestał pukać.

– Radziłem mu, żeby zachorował, albo co – szepnął pocichu. – Ale on nawet nie chce słuchać.

Zaczęli się układać do snu.

– Teraz jeden dzień ma w sobie cały szereg lat – mówił Czerski. – Teraz wszędzie takie się tworzą przemiany, że wiary największe budzą się i umierają jednego dnia. A czy rozumiecie wy, co to jest, kiedy wiara umrze?

Pan Jan milczał.

– Więc słuchajcie. Widziałem człowieka, który nigdy nie zapragnął być wolnym, który nigdy nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, co to jest być wolnym i przez całe życie ze strachu bezmyślnie potępiał wszelki bunt. Potem spotkałem go w dniu wolności, bo był jeden taki dzień, otóż, uważacie, ten człowiek stawał na rogach ulic i krzyczał: „niech żyje wolność!” A kiedy w jego stronę wymierzono lufy karabinów, nie drgnął... stał wyprostowany, piękny, jak bohater. I co? Widziałem go potem – w nocy spotkał wóz naładowany trupami i wiara jego umarła ze strachu. Piorunował na wywrotowców, mówił o jakichś żywiołach skrajnych, o buncie, o nieszczęściu. Wiara jego żyła tylko kilka godzin.

Ostatnie słowa powiedział szeptem – zdawało się, że się wstydzi za tego, o którym mówił.

W celi było coraz ciemniej.

– I wy, jak ów człowiek, mieliście dziś chwilę buntu – mówił w dalszym ciągu Czerski. – Mniejsza o pobudki i skutek – to był bunt! Zamknięci na klucz, przywiązani, jak pies, na łańcuchu do ściany, przewrażliwieni, byliście mimowolnym świadkiem brutalnej przemocy i zaprotestowaliście.

– To co innego! – bronił się pan Jan. – Tu bito człowieka!

– Nie, moi złoci, ale to to samo. Zrobiliście to, co my robimy. I ta jest tylko między nami różnica, że my, tak zwani wywrotowcy, jesteśmy od was burżujów czujniejsi. Tę przemoc bowiem, której świadkiem byliście dzisiaj, my widzimy wszędzie i protestujemy. Protestujemy, jak wy!

– To jest, jakto? – zapytał pan Jan.

– A tak, protestujemy, jak wy. Przecie dziś nie myśleliście o tem, co was spotka.

– Ależ przez całe życie nie można nie myśleć o sobie!

– Dlaczego?

– Bo życie jest walką o byt, to jest: myśleniem o sobie.

– Ba! ba! po kołtuńsku definjujecie życie! – zawołał Czerski. – Według was życie, to zjedzenie pewnej ilości obiadów, a według mnie, to spełnienie jakiegoś czynu, czy całego szeregu czynów. Jak się taki czyn spełniło, to można wówczas śmiało śmierci spojrzeć w oczy, jak patrzył ów rewolucjonista, o którym wam zaraz opowiem. Uważacie – był maszynistą kolejowym i zręcznym manewrem z narażeniem własnego życia uratował ostatnią garść powstańców. Pojmano go i stawiono przed sąd i skazano na rozstrzelanie. Idąc na miejsce tracenia, prosił, żeby mu nie zawiązywano oczu. Patrzył w lufy karabinów i nie drgnął... I, uważacie, padła salwa, a wszyscy żołnierze mierzyli w niebo. Wówczas rzekł:

„Ja, bracia, zrobiłem swoje, teraz wy róbcie swoje!” Po drugiej salwie upadł – wszyscy mierzyli w serce.

– W serce! – syknął pan Jan.

– W serce! – powtórzył Czerski. – Wszystkie kule przeszły serce. I to prawda, że to wielka rzecz móc powiedzieć: Ja zrobiłem swoje, a teraz wy róbcie swoje! To wielka rzecz! To brzmi zupełnie inaczej, niż: ja zjadłem wszystkie swoje obiady, teraz wy jedzcie swoje.

Czerski wstał i zaczął się rozbierać.

– Ale Bieda, to jest warjat – mówił, zdejmując marynarkę – nie chce zrozumieć, że trzeba się do upadłego bronić.

Pan Jan leżał zdrgnięty. Patrzył w coraz większy mrok, i przed oczyma jego zaczęły przesuwac się bohaterskie wysiłki jakichś szalonych ludzi, brutalne uderzenia spadające na twarz, drgające jeszcze żywe serce przeszyte kulami – i czyn, jeden czyn, który należało spełnić. Starał się wmówić w siebie, że to wszystko złuda i że z tyłu za dekoracjami jest tylko szare płótno, ale czuł dokoła siebie tych ludzi, oszalałych tęsknotą czynu, szafujących hojnie i bohatersko swoją krwią.

– Po co? – pytał siebie i myślał, że ludzie są, jak ptaki, z których każdy ma swój lot najwyższy, swoje miejsce w błękitach, do którego dolecieć potrafi i dolecieć musi. I jeszcze myślał o tem, że gdyby się zerwał do lotu i spadł i rozbił to Czerski myślałby o nim, Czerski, Marynia i Nika.

W tę noc do późna nie mógł zasnąć.

* * *

Pod datą 11 maja pan Jan pisał w pamiętniku:

Coraz mi jest smutniej. Nie wiem, czy mam jaką sprawę i za co siedzę...

.....

W nocy na głowie jeży się włos,
strach ślepooci wpełza przez próg,
sklepionej celi zwięza się łuk,
w gardle bezdźwięcznie umiera głos.

Jak dokuczliwe brzęczenie os,
uszy napęlnia kajdanów zgrzyt
i ciężkie kroki zakutych nóg

ludzi patrzących w zorzę i w świt
i na ofiarny idących stos
z wiarą w wyśniony w podziemiach myt.

Więc znowu piszę wiersze. Widocznie tracę już grunt pod nogami...

.....

Patrzą, w zorzę, której niema i idą na zatracenie, na śmierć... są, jak muchy, które zasnuwa śmiertelna pajęczyną szary pajak – więzienie.

Już dwa miesiące... Nieraz myślę o tobie, Maryniu, i mam oczy pełne łez...

Już dwa miesiące.

Czemu dotychczas nie miałem widzenia się z tobą?

Widziałem na przechadzce rozkwitłe jaśminy. Jak dziwnie wyglądają jaśminy na podwórku więziennym!

Wiosna... wiosna...

Wszak i katafalki ubierają kwiatami!

.....

Wczoraj zelżono mnie... Nigdy mu tego nie daruję...

.....

Myślałem o człowieku, który się zbudził na jeden dzień i myślałem o człowieku, który stał przed czarnymi otworami luf – i nie drgnął. I o tym myślałem, jak wszystkie kule trafiły w serce.

Przyszedł mi na myśl djak Ilja

Przed wielu laty, kiedyśmy z nim chodzili do szynku, po szóstej wódce nieraz mówił:

– Wsiakoje diejanje od briucha praischodit...

A wiem z gazet, że zginął w zeszłym roku w jakiejś miejscowości fabrycznej z czerwoną szmatą w ręku.

Biedny Ilja...

.....

Pokłóciłem się znowu z Czerskim.

Powiedział mi, że to nieprawda, że my mamy jakieś tęsknoty i ukochania.

Poco on mnie drażni?

.....

Dziś mnie badano ponownie. Więc to naprawdę są fotografie tych, którzy byli wówczas w moim mieszkaniu!

.....

Jutro w sądzie wojennym sprawa Biedy. I ja i Czerski z niepokojem oczekujemy wyroku.

Czerski pociesza się, że Bieda otrzyma katorgę.

Czy jednak on już zrobił swoje? Czy osiągnął swój lot najwyższy?

Co poniesie z sobą do katorgi?

* * *

W dzień, w którym miano sądzić Biedę, pan Jan obudził się bardzo wcześnie. Był czas przed słońca wschodem, kiedy zmierzchy zaczynają różowieć, a wilgotny chłód nocy wsiąka powoli w ziemię.

Pan Jan poczuł chłód. Okno było otwarte i z pod okna po murze ściekały strugi wody.

Drżąc na całym ciele od zimna, wstał i zamknął okno. Zamykając, spojrział w górę. Niebo było ciężkie, szare. Padał deszcz...

Okrył się więc derą i paltotem, skurczył się i zamknął oczy, zasnąć jednak nie mógł.

O takiej porze, kiedy jeszcze świtać nie zaczyna, w cytadeli zwykle wykonywają wyroki śmierci. Pan Jan wie doskonale, jak się to wszystko odbywa. Czytał w różnych pismach sen-

sacyjne opisy traceniam. Pan Jan wogóle lubił sensacje, a te pełne grozy opisy budziły w nim niedobłą myśl: „jak dobrze, że to nie mnie”. Drżał ze strachu i czytał. Myślał nawet nieraz o tem, że lepiej być straconym wieczorem, bo o świcie, kiedy dzień wstaje...

Leży z zamkniętymi oczami – nie może zasnąć. Traci zwołna poczucie tego, co się dokoła dzieje – i nie może zasnąć.

Na kurytarzu słycać kroki coraz bliższe.

Idą... idą...

Weszli do celi w ciężkich szarych szynelach, otoczyli go zwartem kołem.

– Ty Iwan Downar? – pytają.

– Ja.

– Odiewajisia!

Ręce trzęsą się, skaczą... oczy wyszły na wierzch, aż powieki bolą... zęby dzwonią, a w ustach pełno krzyku... Nie może iść... wloką go... Uderzyli w bębny... Raz... dwa... trzy...

Pod biciem bębnow obudziło się w nim całe jego życie. Każdy człowiek przed śmiercią widzi całe swoje życie.

Idą obrazy, zmieniają się, bledną.

O takiej porze na wsi baby na rosie bielą płótna. Rozścielają szare, zgrzebne szmaty, z których cała szarość wsiąka w ziemię .

O takiej porze na wsi powtórnie na opłotkach zaczynają pisać kury, a w izbach dzieci budzą się i płaczą.

Pana Jana przywiązali do słupa, a pan Jan myśli:

– Wszystkie w serce... odrazu w serce...

Na oczach ma zgrzebną szmatę wybieloną gdzieś na łące i myśli:

– Wszystko tak, jak mówił Czerski... ale za co? I nagle zagrały bębny: raz... dwa... trzy...

.....

Zerwał się nieprzytomny i usiadł na posłaniu. Co to? Czerski śpi jeszcze... Na czole miał zimny pot i dzwonił zębami.

Bał się położyć. Oparł się więc plecami o ścianę i drżał od zimna.

Na więziennem podwórku i wszędzie stał już biały dzień i pluskał po blasze za oknem i po szybach deszczem.

Gdzieś daleko zadzwoniły ciężkie więzienne klucze, które miały swój specjalny, nieprzyjemny głos, ktoś z impetem otworzył oszklone drzwi, wiodące ze schodów na kurytarz.

– Już szósta – pomyślał pan Jan i zaczął się ubierać.

Zgrzytnęły ciężkie zasuwki w najdalszych celach, po kurytarzu rozbiegły się ciężkie stapania i bezładny rozgwar rozmów. Czerski obudził się i zaklął. Tak zaczął się długi dzień więzienny. O dziewiątej na podwórko zajechał ciężki wóz. W pół godziny potem Bieda wypukał:

– Chwała Bogu, już...

I potem dodał:

– Do widzenia...

Potem pan Jan usłyszał jakiś niezwykły ruch na kurytarzu – prędkie stapanie, dzwonienie ostróg, szmer jakichś twardych głosów, potem stapania i szarpnięcie drzwi wejściowych.

– Zabrali... – powiedział Czerski.

– Zabrali – powtórzył pan Jan.

Za chwilę blachy w oknach zadrżały od ciężkiego turkotu i znowu wszystko ucichło.

A deszcz mżył...

Pan Jan był pod wrażeniem swego snu, przeżywał okropny moment traceniam, przytem niedawna awantura z Dzidą nie dawała mu spokoju. Na Lisicę nie mógł patrzeć – czuł dotąd jego brudne i twarde ręce na swojej twarzy i obmyślał plan zemsty.

Czerski również był czemś strapiony i leżał na pościeli, milcząc.

O jedenastej deszcz przestał padać i do celi wszedł żandarm.

– Na pragu! – zawołał od proga.

Ubrali się spiesźnie i wyszli za nim na kurytarz. Za nimi szedł żołnierz z karabinem.

Spacerowali zwykle pod oknami kancelarii. Na stołku pod murem siadał żandarm, spoglądający co chwila na zegarek, a o pięćdziesiąt kroków od niego pod ścianą więzienia stał żołnierz. Mogli chodzić od żandarma do żołnierza. Niewolno było zatrzymywać się i rozglądać, niewolno było patrzeć w górę i głośno rozmawiać.

Tego dnia na dróźnie było pełno wody – i pan Jan przemoczył nogi.

Do celi powrócił przemokły i zziębnięty. Kiedy przechodził koło drzwi Biedy, zrobiło mu się smutno – za drzwiami nie czuł nikogo, nikt nie chodził niespokojnie po pustej celi.

Czuł mokry chłód w nogach – i wydało mu się, że Bieda w tej chwili musi również doznawać tego samego uczucia przemokłych nóg.

Kilka razy z rzędu zajrzał do ich celi Lisica. Zdawało się, że chce zacząć rozmowę, pan Jan jednak za każdym razem odwracał się do okna, a Czerski patrzył nań z podejrzliwością. Obaj nie mogli mu darować awantury z Dzidą.

Na widok jego w panu Janie zrywała się wściekła złość. Raz nawet nie wytrzymał i krzyknął, zanim Lisica zdążył zamknąć drzwi:

– Proszę się tu nie włóczyć!

Lisica słyszał, ale udął, że nie słyszy. Po obiedzie do celi wszedł żandarm. Zmierzył obu oczyma i zwrócił się zapytaniem do pana Jana:

– Wy gaspadin Downar?

– Ja – odrzekł pan Jan zaniepokojony i zdziwiony do najwyższego stopnia. Myślał, że go wywołuje na wolność.

– Pażalujcie w kancelarju... – powiedział żandarm, a widząc, że pan Jan chce go o coś pytać, wykręcił się na obcasie i wyszedł na kurytarz.

Pan Jan poszedł za nim. Za nimi krok w krok szedł żołnierz z karabinem na ramieniu.

Przeszli cały kurytarz, zeszli po czarnych, żelaznych schodach na dół i po chwili znaleźli się w tym samym pokoju, w którym badano pana Jana.

– Padażditie – powiedział żandarm, szepnął coś do żołnierza i wyszedł.

Żołnierz stanął pod drzwiami.

Pan Jan gubił się w domysłach po co go tu sprowadzono. Monotonję więziennego dnia przerwało jakieś zdarzenie, którego jeszcze nie rozumiał. Nie wiedział, co go czeka. Wszak nie wolność? Przecie tak nie uwalniają – zostawili wszystkie rzeczy w celi... Badanie? Czyżby mieli go badać o tej porze? Kto wie! Przyjdzie uprzejmy rotmistrz, będzie go częstował papierosami, śmiał się...

Nie miał kogo zapytać...

Pod drzwiami stał żołnierz, barczysty, wysoki chłop o piegowatej twarzy i małych, błękitnych oczach. Oczy te były jasne, zdawało się napelnione mgłą, i miały w sobie miękką łagodność, nie licującą zgoła z ostrzem bagnetu i z zimną sztywnością żołnierskiego szynela.

– Co to będzie? – zapytał pan Jan szeptem.

– Świdanie... – odpowiedział żołnierz, oglądając się niespokojnie na drzwi. Nie miał prawa mówić...

– Marynia! Marychna! – zaszumiało panu Janowi w uszach. – Przyszła... jest tu gdzieś blisko... szła po czarnych schodkach i przez czarną sień... Małą nóżką deptała długi, szary chodnik w kancelarii... Marynia! Marychna!

Opanowało go dziwne rozrzewnienie. Zapomniał o Biedzie, o Czerskim. Z jakąż rozkoszą upadłby na brudny chodnik w kancelarii więziennej i całował ślady jej stóp!

Coś zatamowało mu dech w piersi i zalechotało w krtani... Odwrócił się od okna... Po szybach spływał deszcz... nie, to nie deszcz... oczy mgłą zasły... to łzy... to łzy...

Otarł je nieznacznie rękawem marynarki i, bojąc się rozplakać, zwrócił się do żołnierza:

– A wy sami skąd?

Nie wiedział czemu zapytał go po polsku i zdziwił się, gdy ten mu odpowiedział twardym, rosyjskim akcentem, ale po polsku:

– Ja, pan, z daleka.

– Ale skąd?

– Z Orłowskoj.

– To niedaleko, bracie.

– Dla mnie i to dal! – szepnął ponuro żołnierz. – Piechotą nie doszedłby w dwa miesiące.

– A skąd umiecie mówić po polsku?

– Nauczył się, pan. Cztery lata tu służył, ot i nauczył się.

– A smutno tu wam za ojczyznę?

– Wiadomo, co smutno! Ale otcyzny to u mnie niema.

– Jakto niema otcyzny?

– Tak to i niema! – mówił ze smutkiem w głosie. – Człowiek odsłuży swoje i wraca do otcyzny, a otcyzny jego niema zupełnie. Jest tam tylko takie miejsce, gdzie zapisali, że taki był tu chrzczony, a ziemi nie zapisali. Tak to i niema otcyzny.

Oparł się na karabinie i zwiesił głowę. Ponury smutek wiał od jego słów.

– Niema otcyzny nijakiej – powtórzył raz jeszcze.

I panu Janowi zrobiło się naraz smutno, aż do płaczu.

Za chwilę zobaczy Marynię, potem wróci do celi i będzie czekał na uwolnienie – dzień, dwa dni, tydzień może. Potem wróci do domu, napewno wróci... I co to znaczy jego całe więzienie w porównaniu z sytuacją tego człowieka bez ojczyzny! Ten wysoki, barczysty chłop, pilnujący go, żeby nie uciekł, ten chłop, z nabitym karabinem w rękę, bezrolny i bezdomny, nie ma ojczyzny, nie ma po co i dokąd wracać!

– To prawda... to prawda... – mruczał pan Jan.

Do pokoju wszedł żandarm i wywołał go na kurytarz.

Poszli – za nimi krok w krok szedł żołnierz.

Po chwili stał już w małej klatce drucianej, a przed nim za żółtą barjerą stała Marynia i mała Nika. Wspięła się na paluszki, żeby lepiej widzieć tatusia, a pan Jan widział tylko jej duże szafirowe oczy i zwoje złotych loków.

Patrzyli na siebie czas jakiś, milcząc. Pan Jan zdrętwiał.

– Maryniu! Maryniu! to ty! – chciał wołać i nie mógł.

Stała przed nim uszczęśliwiona, pełna życia i wesela. Oczy jego biegły po jej twarzy, chciwie szukały śladów jakichś zmartwień, jakichś bolesnych myśli o nim – i nie znalazły nic.

Więc umiała bez niego żyć i nie było śladu, że żyła bez niego!

– Maryniu! Maryniu! – zaskowytało w nim coś wyrzutem bolesnym.

Patrzył na nią coraz smutniej, coraz głębiej... Widzi... domyśla się, choć nie widzi...

– Zbladłeś – mówi Marynia.

– Być może... tak! trochę – jąka pan Jan niewyraźnie.

– Robię starania, różne kroki. Pewnie niedługo będziesz wolny.

– To dobrze... dobrze... – szepce pan Jan i nadrabia miną. – Jak zdrowie? co porabiasz?

– Jestem zdrowa. Wiesz przecie, że nie choruję nigdy. Tylko Nika... przeszła ostre zapalenie płuc...

Pan Jan patrzy... Duże oczy Niki otoczone czerwoną obwódka, na barjerze leżą długie, cienkie rączki.

– Cały czas byłam zdrowa... – mówi Marynia. – Tylko Nika... Ale teraz i ona zdrowa. Zresztą nic nowego nie słyszę... Przychodzi nieraz pan Jarosław, pan Andrzej... Chodzimy na spacer... Wczoraj...

– Była majówka! była majówka! – zawołała nagle Nika, wspinając się na palcach nad barjerę.
– Jeździliśmy do Skolimowa... Bawiłam się wybornie. Pan Henryk, jak zwykle, ożywił całe towarzystwo.

Spuściła oczy i nie wiedziała, co mówić. Pan Jan milczał również – chciał jak najprędzej uciec z tej drucianej klatki do celi, nie widzieć, nie rozmawiać, nie myśleć.

Marynia była w białej sukni, której przedtem nie miała, i w dużym, błękitnym kapeluszu, którego również przedtem pan Jan nie widział.

– Jaka szkoda, że z racji tego wszystkiego nie można będzie wyjechać w tym roku na wieś!
– rzekła po chwili. – Lato pewnie będzie upalne.

Nie mieli już o czym mówić. Na szczęście żandarm zwrócił uwagę, że już dziesięć minut upłynęło, i że widzenie skończone. Marynia ręką przesłała całusa. Nika po raz ostatni wspięła się na palce i ostatnie na tatusiu położyła spojrzenie i obie zginęły za drzwiami. Pan Jan jeszcze chwilę patrzył na drzwi.

– Atwieditie! – wydał rozporządzenie siedzący pod oknem rotmistrz, którego pan Jan dotychczas nie zauważył.

Drzwi otworzyły się i pan Jan znowu znalazł się na kurytarzu. Szedł w górę po schodach za żandarmem i czuł za sobą żołnierza, który nie miał ojczyzny.

Wówczas pomyślał, że i on nie ma dokąd i nie ma pogo wracać.

Kiedy wchodzili do celi Czernski zapytał:

– Mieliście badanie?

– Nie, widzenie... – odpowiedział pan Jan niechętnie.

– Cóż? zdrowi? – zapytał znowu Czernski.

– Owszem... dziękuję – wycedził przez zęby pan Jan i zaczął przerzucać książki, leżące na podłodze w kącie celi.

Po chwili udawał, że czyta.

Właściwie jednak nie mógł czytać. Duży, błękitny kapelusz Maryni zasłaniał mu całą książkę i przeszkadzał czytać.

– Rzeczywiście! dla takiej drobnostki nie można będzie wyjechać na wieś – myślał, odkładając książkę.

Położył się i wpadł w odurzenie. Oczy miał szeroko otwarte, ale nie widział nic.

– Tak to i niema zupełnie ojczyzny – ktoś szeptał, pochylony niezgrabnie nad nim. – Jest tylko takie miejsce, gdzie zapisali, że tu się rodził i tu był chrzczony... i więcej niema nic...

Tak... tak... i tu ta sama historja... W bramie na liście lokatorów zapisano jego nazwisko... Jan Downar... i więcej nic... ani ziemi, ani domu... tylko błękitny kapelusz Maryni.

Nagle do celi wpadł Dzida po blaszane miski, które zostały od obiadu.

Podszedł do pana Jana i nachylił się nad nim, a wyjmując coś z zanadrza, zaczął się śmiać radośnie.

– Patrzcie ino – bełkotał, wyciągając do niego rękę.

W ręce trzymał list jego do Maryni.

– Co to? skąd macie? – pytał pan Jan, biorąc pomięty papier do rąk.

– Bo ja wiem! Powiada mi Lisica: weź, taki synu, list, ino, żeby tego więcej nie było.

– Dziękuję ci, ale tego listu już nie wyślę.

Dzida znikł za drzwiami.

Pan Jan rozwinął pomięty i brudny skrawek papieru i zaczął czytać.

Czytał powoli, spoglądając z podejrzliwie na Czernskiego.

..., „Smutno mi bez was. Siedzę w odludnej samotni i myślę o was... Ty i Nika – wołam was po imieniu i czekam”... W tem miejscu wydało mu się, że duży, błękitny kapelusz przysłonił mu nagle cały list, i że oczy napróżno szukają liter. Nie widział nic prócz błękitnych wstęg, więc zaczął miąć i drzeć ten brudny strzęp papieru. I poczuł nagle znowu, że ma strasznie mokre nogi i że od nóg aż do czubka głowy idą wilgotne dreszcze.

A na dworze było coraz pogodniej. Chmury podarły się i białą wełną rozpląnęły po niebie i powoli zaczęły wsiąkać w daleki błękit. Na blasze w oknie położył się promień słońca, wciśnął się między kraty i rozlał się przedziwnym złoceniem na czarnych drzwiach i na białej ścianie sklepionej, więziennej cdi.

Pan Jan leżał z przymrużonymi oczami i udawał, że śpi. Wszystko w nim podarło się i pomałało, jak chmury na niebie. Nie było żadnego pragnienia, żadnej myśli całej.

Słyszał kaszel Czerskiego i miarowe jego kroki tuż przy sobie. Słyszał głosy na kurytarzu i zgrzytanie odsuwanych zasuw i dzwonienie więziennych kluczków. Widział, jak słońce powoli spelza z drzwi na podłogę i jak ginie pod czarną deską, wmurowaną w ścianę.

Leżał odrętwiały, cichy.

W mózgu miał wir jakichś myśli oszalałych niepokojem, bezładnie skłębionych w potwornie ciężkie sploty. Przelewały się, jak olbrzymie cielska przez jego duszę, i szlochały gdzieś w najdalszym kącie długiego kurytarza.

A po kurytarzu chodził Lisica.

Pan Jan słyszał jego kroki i wszystkie myśli swoje zatrzymał na nim. Dotąd nie wie, za co siedzi i jak długo jeszcze będzie siedział, ale wie, że jest oddany zupełnie na łaskę i niełaskę tego chama Lisicy, który ma takie brudne i twarde ręce.

– Precz! precz! – woła w duchu i zaciska pięście.

Ale Lisica chodzi gdzieś daleko po kurytarzu.

Tak leżąc, doczekał wieczora. Lisica z trzaskiem zaryglował wszystkie drzwi i zapanowała wielka cisza.

Czerski dwukrotnie próbował pukać do Biedy, za każdym razem jednak nie otrzymywał odpowiedzi.

Wreszcie, kiedy zrobiło się zupełnie szaro i cała cęła napełniła się nocą, pan Jan usiadł na posłaniu.

– Myślałem, że śpicie – zagadnął go Czerski.

– Spałem... w samej rzeczy, trochę spałem... – tłumaczył się pan Jan.

– Biedy jeszcze niema – zauważył Czerski.

– Długo trzymają – mruknął pan Jan.

– Psia krew! – zaklął Czerski.

Było już zupełnie ciemno, gdy nagle zadzwoniły klucze i zgrzytnęły rygle... Kogoś wprowadzono na kurytarz. Otwarto i zamknięto z trzaskiem drzwi sąsiedniej celi. Potem znowu zadzwoniły klucze – i wszystko umilkło.

Pan Jan i Czerski zerwali się na równe nogi i zaczęli wsłuchiwać się w głosy dochodzące z kurytarza.

– Co to?

– Przyprawdzili z sądu – szepnął Czerski.

Zamarli obaj w oczekiwaniu. Serca biły im głośno i nierówno.

Naraz, kiedy wszystko umilkło, usłyszeli gwałtowne i nierówne pukanie w ścianę.

Czerski odezwał się natychmiast.

– Już – pukał Bieda.

– Co? – zapytał Czerski.

Bieda zaczął coś pukać. I stała się rzecz dziwna, rzecz niezrozumiała zupełnie. Pan Jan, nierozumiejący dotychczas tego więziennego alfabetu, zaczął nagle rozumieć literę po literze. Pukania za ścianą tłukły się po jego mózgu i skomliły, jak obite psy, nieukojonym bólem i przerażeniem.

Na ścianie wyrosły nagle płomienne litery, drżące jakieś ogniste znaki, żywe żagwie płonące.

– Po-wie-sze-nie... – sylabizował drętwiejącymi ustami.

– Śmierć! – krzyczał mu ktoś nad uchem.

– Śmierć! – chichotał ktoś na kurytarzu.
 I nagle zatrzęsły się drzwi ich celi i gruby głos krzyknął:
 – Nie razgawariwat!...
 Widocznie pod drzwiami Biedy zostawiono na noc żandarma.
 Po chwili, skradając się cicho, jak kot, podpełzł do pana Jana Czarski i, przyłożywszy usta do ucha, nieswoim głosem wyszeptał:
 – Powieszają.
 – Wiem – odpowiedziałem szeptem.
 Szeptali tak, jak się szepce, kiedy w pokoju stoi otwarta jeszcze trumna i długie woskowe świece palą się trupio, i wszyscy chodzą na palcach.
 – Tak... tak... – szeptał pan Jan i kiwał głową. I znowu uczuł w sobie solidarność z tem nieszczęściem, uczuł w sobie rodzący się bunt.
 – Powieszają... powieszają...
 Ale on na to nie pozwoli!
 Lisica! to ten podły Lisica wszystkiemu winien!
 Zerwał się i podskoczył do drzwi.
 – Atwaritie! – wrzasnął z całej siły...
 – Atwaritie! – zahuczało na kurytarzu... Ale nikt się nie odzywał, tylko żandarm zaczął chodzić pod drzwiami.
 – Co wy robicie, Downar? – zawołał Czarski.
 Spojrzał za siebie w mrok z nienawiścią.
 – To moja rzecz – krzyknął nieswoim głosem i zaczął bić pięściami w drzwi.
 Czarski podskoczył do niego, lecz został natychmiast brutalnie odepchnięty.
 – To moja rzecz – syczał pan Jan i bił nogami i rękami w drzwi.
 – Atwaritie! atwaritie!
 On wie, co ma zrobić. Z pod ziemi wydobędzie Lisicę.
 Wpadł w jakąś furję, trząsł drzwiami i ryczał. Nie słyszał otwierających się oszklonych drzwi na kurytarzu, przyspieszonych kroków i krzyków, nie czuł, jak go przemocą schwyciono za ręce i jak go potem popychano i bito.
 – Gdzie on? gdzie Lisica? – krzyczał nieprzytomny i rzucał się na wszystkie strony.
 Tylko związanych rąk nie mógł podnieść do góry.

* * *

Pod datą 24 maja pan Jan pisał w pamiętniku:

Oni myślą, że wszystko mogą zrobić ze mną. Co za naiwność!
 Rozłączyli mnie z Czarskim. Nie wiem nawet w jakiej stronie więzienia siedzę, bo mi nie dają spacerów.
 Skąd mam te rany na rękach? Prawdopodobnie chcieli mnie nastraszyć i związali mi ręce sznurami. Co za naiwność!

.....

Naprawdę to był zupełnie oryginalny pomysł. Marynia przyszła dziś na widzenie i zamiast dużego, błękitnego kapelusza, miała twarz Lisicy.
 Nie mogłem na nią patrzeć. Wolałbym ją widzieć w tym dużym, błękitnym kapeluszu.

.....

Dziś na badaniu udawałem, że znam tych ludzi, których pokazywał mi rotmistrz. Śmiałem się do łez i klepałem poufale rotmistrza po ramieniu.

Taka poufałość dobrze robi.

Znam tych ludzi, tylko nie pamiętam ich nazwisk.

– Udiwitelno! – panie rotmistrzu!

.....

Zapłacisz mi za wszystko, Lisica!

* * *

Na tem urywał się pamiętnik znaleziony w celi, w której dwa ostatnie tygodnie spędził pan Jan.

OFIARA.

Wczesny zmierzch zimowy kładł szare cienie pomiędzy rzędami zapalonych latarni, kiedy wrócił do mieszkania, w którym nocował już od tygodnia. Był to długi, wąski pokój o jednym oknie, wychodzącym na małe podwórko. We dnie musiało tu być bardzo ciemno i smutno. Nie był tu nigdy we dnie. Przychodził zwykle o zmierzchu i wychodził, kiedy jeszcze było szaro. Całe dni spędzał na mieście.

Gospodarza tego mieszkania nie znał. Wiedział tylko, że jest studentem, że wyjechał na wieś, i że jemu pozwolono w tym prawie pustym pokoju nocować.

Przed miesiącem jeszcze siedział w więzieniu. W mieście był stan wojenny. Wzięto go z ulicy bez legitymacji i osadzono pod kluczem. Siedział krótko. Pewnego dnia udało mu się wyjść wraz z odwiedzającymi więźniów.

Radzono mu, żeby wyjechał, on jednak nie chciał. Coś go trzymało w Warszawie. Był-li to czar wiszącego nad głową niebezpieczeństwa, czy jakieś inne uczucie, nie zdawał sobie z tego sprawy. Wiedział, że wyjechać nie może, nie powinien, więc tułał się po obcych mieszkaniach i krył się, jak zwierzę tropiony.

W pokoju, w którym teraz nocował, było mu dziwnie nieswojo. W tej dzielnicy miasta nigdy nie mieszkał. Zdawało mu się narazie, że jest w innym jakimś mieście. Dzień się tu zaczynał inaczej i kończył inaczej, i ludzie tu byli inni. Przytem całe umeblowanie pokoju było ubogie i smutne. Meble, jak ludzie, mają swój wyraz. Te były bez wyrazu, jakieś szare i pospolite. W kącie, najdalej od okna, stało wąskie żelazne łóżko na pokrzywionych nogach, zakryte kołdrą, imitującą pomalowanego w jaskrawe pręgi tygrysa. Pod oknem stał odrapany stół kuchenny i krzesło wiedeńskie z wywichniętą nogą. Na stole i na podłodze leżały w nieładzie książki i jakieś szare od kurzu papiery. Nie było ani świecy ani lampy.

Dziś, jak zwykle, wrócił o zmierzchu.

Był biały wieczór wigilijny. W nocy zima śnieżną ponową pokryła dachy szarych kamienic i szare bruki ulic. Na sztachetach balkonów, na gałęziach drzew leżał biały śnieg. Uroczysta białość snuła się po mieście i kładła matowe odbłaski na ścianach domów, na wystawowych szybach sklepów i na twarzach ludzi.

Cały dzień spędził na ulicy. Pomimo dnia powszedniego ulice miały wygląd świąteczny. Niezwyczajny ruch panował wszędzie. Zapracowani i zmęczeni ludzie wyszli na miasto.

– Jutro święto... jutro święto! – mówiło wszystko dokoła, a śniegi z drzew i balkonów szeptały:

– Odpocznijcie... odpocznijcie...

Ach, te śniegi!

Spadną na ziemię, rozgrzeją zmarzłe grudki ziemi i roztopią się, i zginą. Wówczas z ziemi wstaje wszystko to, co umarło, ubiera się w jakieś żywe formy i udaje życie. Jakież oczy znajome patrzą, jakież głosy znajome mówią. To wszystko było, to wszystko nie wróci...

Same złudy!

Przez cały dzień wśród tłumu ludzi na ulicy czuł się dziwnie osamotnionym, a teraz, w tym ciemnym i chłodnym pokoju zrobiło mu się raźniej... Przynajmniej nikogo nie widzi i jest naprawdę sam, i tylko ten biały śnieg z dachu przeciwległej oficyny patrzy na jego samotność – niepokalany, biały śnieg...

Owinął się w kołdrę i usiadł na łóżku.

Wigilijny wieczór...

Pamięta... był dzieckiem... nad łóżkiem jego wisiał oleodruk niemiecki... był to jakiś wieczór wigilijny, zasypany śniegiem... z mroku przez oszronione drzewa czerwonym ogniem błyszczały szyby gotyckich okien... to był jakiś kościółek wiejski...

Zawsze zdawało mu się, że za tym kościółkiem jest wieś, i że na niebie już błyszczy pierwsza gwiazda. Pamięta nawet, że szkło było z prawej strony pęknięte, pamięta, że rama była uszkodzona w dwóch miejscach.

Z pod śniegu, z pod białego śniegu idą długie korowody wspomnień... ciche, szare godziny... pierwsza gwiazda na niebie i choinki, mrugające tysiącami zapalonych świeczek... A po śniegu płynie gdzieś od wsi do wsi kolęda, pod czarną kopułą nieba po bezkresnie białym polu płynie kolęda.

Zrywa się i biegnie za kolędą przez pola wielkie, przez zasypy wysokie. Mróz zagląda mu w oczy białymi oczami, biały śnieg chwyta go za nogi. I nagle otwiera się przed nim jakaś czarna otchłań. Ani kroku dalej. Więc, jak bezradne dziecko, stoi nad przepaścią, – ani kroku dalej!

Ludzie stojący nad przepaścią zwykle widzą to, czego przedtem nie widzieli, i on patrzy, a oczy mu się otwierają tak szeroko, że widzi to, czego nie widział nigdy. Tam, za tą przepastną głębią, gdzieś w szczerem polu stoi jego krzywda. A ta przepaść – to jego szare, jego bezdomne życie. Nie było tam ani obłąkań księżycowych, ani rozkwitów barwnych, ani upojen miłosnych. Nic... tylko szarość powszednia!

Przez całe życie działa mu się jakaś wielka krzywda. Zapatrzył się w jeden punkt i nie widział nic więcej. I powoli zaczęło go wszystko omijać. Wszystko poszło gdzieś do ludzi, a on czuł tylko, że siedzi, jak zwierz w klatce, i że z tej klatki musi wyjść, chociażby za cenę swojego życia. W tej klatce zbudził się w nim bunt i rósł z nim razem, jak wierny towarzysz, i wypełnił jego życie po brzegi. Nie było miejsca na radości i wesela.

I oto dlatego dziś tak wyraźnie widzi, jaki on był bardzo ubogi! Jedno tylko miał pragnienie i jedną tylko myśl, i nagle to ubóstwo pragnień i myśli nieznośną męką spadło na dno wieczyście gwałconego sumienia, i nie zostało nic... nic, okrom tych kilku biednych i wyblakłych, jak ten stary oleodruk niemiecki, wspomnień.

I po co żył? I co jest właściwie życiem?

Nie umie odpowiedzieć... Jest coś niezwykajnie smutnego w każdym pytaniu bez odpowiedzi.

Więc po co żył?

Z mroku, z kąta pustego pokoju patrzą na niego czyjeś oczy. Długie i serdeczne spojrzenie kładzie się na jego duszy milczącą odpowiedzią. Rozchylają się purpurowe, wilgotne usta i szepeczą.

To ona.

Patrzy i oczom nie wierzy, a oczy płoną, jak gwiazdy w wieczorze wigilijnym.

Wstał i poszedł do okna. Rozpaloną twarz przyłożył do szyby i otworzył oczy na chłód. Przed oknem wznosiła się szara ściana przeciwległej oficyny i widać było kawał dachu, pokrytego śniegiem. W oficynie wszystkie okna były oświetlone.

Oni żyją. Usiedli do wieczery wigilijnej i jedzą. On jeden tylko nie żył – i siedzi dziś w ciemnym pokoju sam. Dzieckiem jeszcze będąc, rozpoczął wielką robotę. Praca była podziemna i ciężka. Wieczne oczekiwanie niebezpieczeństwa, wieczna walka ze śmiercią. Długie jakieś tajemne narady... zmywy jakieś i wyroki... laboratorja, w których pod tyglami i w reortach codziennie czaiła się śmierć... I potem... gwałt przemożny i brutalny... cztery ściany i kraty w oknach, i znowu bunt, i znowu walka.

I dla kogo? i za co?

Z szarej ściany przeciwległej oficyny patrzą na niego tak pogardliwie, z takim bezczelnym cynizmem oświetlone i ciepłe okna.

Zapalili choinki i usiedli do wieczery wigilijnej. Zapalili choinki i dzielą się opłatkiem.

Za stołem, nakrytym czystym, białym obrusem, usiadło ciepłe i bezczelnie bezmyślne zadowolenie z wczorajszego obiadu, z wygodnego obuwia i ze sprężynowych materaców, nie-

zmiernie ciasne zadowolenie z najprostszych wygod. A przy nim usiadł egoizm i po katolicu jedzą świętą wieczerzę. Nad stołem wisi duża lampa... nie... to nie lampa, to ich szczęście – słodki smak wszystkich potraw zjedzonych.

Z coraz większą pogardą patrzą na niego z szarej ściany te ciepłe plamy świetlne, pełne jedzenia i picia, a on stoi, taki nieruchomy i martwy, jak te brudne ślepe okna, z krzywo zawieszoną raz na zawsze roletą w narożnych kamienicach.

Usiadł znowu na łóżku. Wieczór był coraz dłuższy.

Jutro będzie święto. Na ulicach będzie pusto zupełnie, nie będzie mógł zatracić się w tłumie. Zresztą dał słowo, że nie wyjdzie. Tak go prosiła serdecznie, że uległ i dał słowo. Więc będzie siedział przez cały dzień w tym smutnym pokoju, jak w więzieniu. Jedne takie święta spędził w więzieniu. Miał bardzo obszerną celę, w oknach były matowe szyby, we drzwiach otwór, przez który zaglądał żandarm. Posadzka była asfaltowa. O ściany, pomalowane na różowo, tłukły się myśli, jak gołębie o pułap izby. Ziąb był w celi straszny. Nosił zimowe palto i drżał od chłodu, który szedł z dołu.

Miał przed sobą długie lata wygnania i było mu wszystko jedno, gdyż wówczas nie umiał jeszcze myśleć o sobie.

I nie myślał o sobie wówczas, kiedy go wieźli przez tysiące wiorst w nieopalonym, zakratowanym wagonie. I wówczas nie myślał o sobie, kiedy go pozostawiono w dymnej jurcie jakuckiej wśród nawpół dzikich ludzi, kiedy odgradziły go od świata chińskim murem wymarłe przestrzenie pustych tajg, przez które ciągną tylko tacy, jak on, skazańcy.

Życie tam było śniegiem zasypane, dymem okopcone i martwe.

A kiedy zaczęły przychodzić wieści, że cały kraj zapłonął – nie wytrzymał, zerwał się, jak zwierz z legowiska, przebył tajgi pustynne, przymierał z głodu, wpelzał pod ławki w wagonach, krył się po kątach, unikał ludzkich oczu, i powrócił do kraju...

Tu znowu osadzono go w więzieniu. Komisarz poznał w nim zbiega. W Warszawie był stan wojenny, groziła mu kara śmierci przez powieszenie, albo w drodze łaski przez rozstrzelanie. Celę miał ciasną i mroczną. Obchodzono się z nim nie po ludzku. Los mu jednak sprzyjał – i tym razem uciekł.

Uciekł... i poco?... W jego ciasnym pokoju świątecznie nie pali się duża lampa bronzowa... szary mrok pełza po kątach... nikt nie nakrył stołu do wieczerzy wigilijnej... nikt nie dzielił się z nim tradycyjnym opłatkiem.

Szczęście... kiedyś śniło mu się szczęście...

Zasypiał powoli snem zmęczonym i ciężkim.

...Oto w ciepłym, obszernym pokoju, nad stołem, nakrytym do wieczerzy wigilijnej, pali się wielkim światłem duża lampa. W całym pokoju niema ani jednego szarego kąta, ani jednej skrytki, gdzieby się czaił mrok. A z pod lampy patrzą na niego czyjeś oczy, czyjeś dobre i serdeczne oczy.

I nagle wchodzi do wytwornej cukierni i siada na werandzie, a wszystkie panie i wszyscy panowie patrzą na niego ze zdumieniem. Elegancki lokaj mierzy go pogardliwie oczami i robi gest, jakby go wypraszał... Jakieś nieporozumienie, widocznie jakieś przykre nieporozumienie... Krew mu uderza do głowy, ale wstaje i wychodzi: niema przy sobie legitymacji... I nagle przypomina sobie, że jest w łachmanach, szare jakieś strzępy wiszą u dołu... I czuje, że dzieje mu się krzywda, i znowu widzi te same oczy, ale te oczy patrzą inaczej, jakieś obojętne i sztywne. Więc i ona...?

Zbudził się zrana zmęczony i niewyspany. Na dworze było mokro i szaro. Wczorajszy śnieg ściekał z dachów brudnymi strugami wody. Szara ściana przed oknem pociemniała jeszcze bardziej od wilgoci. Padał deszcz.

Miasto stało, jak wymarłe, z ulicy nie dolatywał turkot dorożek, na podwórku nie było żywej duszy.

Było święto.

Zrobił sobie na maszynie herbatę, okrył się paltotem i pił. Zdawało mu się, że chłodna wilgoć z podwórka wciska się przez szpary okien i drzwi do jego małego pokoju i chodzi po nim przykrym dreszczem.

Nagle ktoś zapukał do drzwi... Ktoś o nim pamiętał...

Zerwał się z miejsca i otworzył.

Na progu stała wysmukła postać niewieścia. Z mokrej czapeczki na jasne warkocze spływały krople wody, na oczach i policzkach leżały srebrne rosy deszczu.

To ona... to ona...

Więc przyszła, więc pamiętała o nim! Stała przed nim, serdeczna i dobra...

– A wiecie, że tu u was i szaro i chłodno... brr... jak w piwnicy... Myślałam, że wam tu w piecu palą... – mówiła, rozglądając się po całym pokoju.

– Siadajcie tu przy stole – przerwał, podsuwając jedyne krzeselko – sam usiądę na łóżku. Będziemy razem pili herbatę.

Nalał drugą szklankę i postawił przed nią na stole. Sam usiadł na łóżku. W szarym, chłodnym pokoju zrobiło się odrazu weselej.

Coś zaczęło żyć.

– Chciałabym wiedzieć, co macie zamiar zrobić ze sobą? – mówiła, kładąc cukier do szklanki. – Nie radziłabym wam zostawać tu dłużej. Narazie roboty żadnej niema, a wy się wciąż narażacie.

– Przy święcie przynajmniej moglibyście nie poruszać tego tematu – odparł niechętnie. – I ja to samo mógłbym o was powiedzieć. Lada dzień mogą was wziąć. Patrzcie, Śmiałego i Górala wzięli, i was tropią, i roboty niema, a wy tu wciąż siedzicie.

– To co innego. Dla mnie zawsze jest robota. Wszystkie forty i więzienia przepelnione. Siedzą bez ciepłej odzieży i bez książek.

– A jeśli was wezmą?

Urwał i machnął ręką. Zrobiło mu się znowu straszno za nią. Zamkną ją w wilgotnej celi, będą ją denerwować i podpatrywać. Pójdzie na poniewierkę więzienną.

– Wiecie, że w tem wszystkim, co my robimy, niema najmniejszego, sensu – mówił po chwili. – Garstka ludzi szalonych boryka się i walczy. Garstka ludzi szalonych zagląda śmierci w oczy. Skazuje siebie zupełnie świadomie na piekielny głód uczuć, na nędzę swego własnego ja. I po co? i dla kogo? Oto najniespodziewaniej w świecie zaskoczy kogoś takie pytanie i pozostanie bez odpowiedzi. A wiecie wy, co to jest pytanie, na które nie można odpowiedzieć? Pytanie takie młyńskim kamieniem przywali wam sumienie. Po co i dla kogo? I nie wiecie, czy chodzi o to, żeby wszyscy spali na sprężynowych materacach i chodzili w wygodnych butach, czy też o co innego.

A życie idzie i idzie... Wiecie, że kiedy tak myślę, to zdaje mi się, że jesteśmy wszyscy warjatami, i ręce opadają bezwładnie.

– Jak możecie coś podobnego mówić? – przerwała do głębi oburzona jego słowami. – Walczymy o prawo bytu dla wszystkich, o wolność...

– Tak, o wolność, ale dla kogo? Niewolnikowi chcecie dać wolność, a on tej wolności nie chce i zabija was za to, że chcieliście obdarzyć go wolnością. Patrzcie, rzucają się jedni na drugich i mordują się nawzajem. Konającym wbijają gwoździe w oczy, ręce gwoździami przybijają do piersi, a my mówimy: to niewolnicy! I wyrzekamy się dla nich swego własnego szczęścia i idziemy na śmierć dla nich. A pomyślcie, czyż nie taką samą anomalją w społeczeństwie jest jednostka pozbawiająca się dobrowolnie zasadniczych praw swoich, gwałcąca swoje własne życie, jak i ta, która konającemu wbija w oczy gwoździe. I tu i tam jest gwałt, i tu i tam jest niewolnik.

Umilkł, oddychał ciężko i patrzył na nią trwożnie. Zdawało mu się, że go nie rozumie, i poczuł wielką przykrość. Ona, właśnie ona musiała go zrozumieć! To wszystko było takie proste.

Więc ciągnął dalej:

– Wy wszyscy powtarzacie wciąż, że walka to życie. A mnie się zdaje, że walka to tylko część życia, i dla tej jednej części niewolno gwałcić reszty, bo każdy gwałt mści się stokrotnie. Tylko człowiek normalny może walczyć skutecznie. A my, wydziedziczeni ze wszystkiego, czyż jesteśmy normalni? O nie... prócz fizycznych są jeszcze moralne kalectwa. Cobyście powiedzieli, żeby ludzie pozbawieni rąk, nóg i oczu wypełzli naraz na ulicę i zaczęli budować barykady? Myślelibyście pewnie, że powarjowali... A jednak my, kalecy, robimy to samo. Zamiast przemożnej potęgi zdrowego życia, dajemy rozpaczliwy wysiłek i padamy obezsileni głodem pogwałconych uczuć. A dokoła czai się śmierć...

– Ale dziś tak mówić niemożna – przerwała mu żywo – dziś nie powinniście tak mówić. Są chwile, kiedy trzeba, język zacisnąć i iść na zatracenie z wiarą w przyszłość. Teraz właśnie jest taki czas, bo teraz rewolucja.

– Rewolucja – jak echo, powtórzył za nią – rewolucja. Na jeden bunt padł drugi i ani kroku dalej...

Umilkł i patrzył na stosy książek, leżących w nieładzie.

Milczeli oboje.

Na dworze padał deszcz, brudne strugi wody spływały po szybach. Szara ściana przeciwległej kamienicy była coraz ciemniejsza od wilgoci. A przez szpary w źle opatrzonym oknie wchodził nieznośny i przenikliwy chłód i kładł na nich swoje dreszcze.

Więc siedzieli skuleni i cisi.

Milczenie stawało się coraz nieznośniejszym. Zdawało się, że zapada im coraz głębiej w dusze i płynie przez ich ciche zamyślenie, jak brudne strugi deszczu po szybach.

Nie czuła dotąd swego gwałtu nad sobą, o którym mówił, rzuciła się w zawrotny wir walki, pełna wiary w zwycięstwo, szła, nie patrząc w siebie, i dziś słowa towarzysza brzmiały dla niej obco.

– Wybaczcie, że wam to wszystko mówiłem – zaczął wreszcie. – Myślałem, że mnie zrozumiecie. Bo widzicie, dwa miesiące temu staliśmy razem pod kulami. Czy pamiętacie ów sądny dzień... śmierć chodziła koło nas. Bładość waszej twarzy kładła na moje sumienie swoje trupie pobiałe. Pamiętacie... Ścisnąłem waszą dłoń, a tak mi ręka drżała, żeście spojrzeli na mnie badawczo. Pomyśleliście pewnie że się boję. Bałem się – otwarcie wam to powiem, że bałem się. Wyprowadziłem was na linię strzałów i bałem się za was. Kule złobiły rowki w błocie i brzęczały nam koło uszu, jak pszczoły. Ludzie padali. Ten student, który stał koło nas, miał krew na twarzy. I tłum nas porwał, i doszliśmy tam, gdzie nie strzelano. Czy pamiętacie to wszystko? Poczulem wówczas, że za tą linią strzałów, za tą granicą śmierci, tam, gdzie już nie strzelano i nie zabijano bezbronnych, wasze ręce zrobiły się ciepłe, i spostrzegłem, że znikła matowa bladość waszej twarzy, i chciałem krzyknąć z radości: – Już nie zabijają! – i chciałem uciekać jeszcze dalej. I wówczas zrozumiałem, że gdyby was zabili... Ale nie patrzcie tak na mnie; kiedy tak patrzycie, zdaje mi się, że znowu stoimy na linii strzałów, i robi mi się straszno. Od tego dnia ciągle myślę o was. Zdaje mi się nawet, że i wy o mnie myślicie. W laboratorium, ilekroć wyczytałem w waszej twarzy obawę o mnie, byłem wam wdzięczny. Nieraz, kiedy termometr wskazywał zbyt wysoką temperaturę, odsuwaliście mnie ze strachem. Tak z dnia na dzień, najzupełniej bezwiednie podsycany przez was, rósł we mnie bunt przeciwko czającej się koło nas śmierci, wzmagało się straszne pożądanie szczęścia i wiecznie mi ktoś kradł moje szczęście...

Słuchała, milcząc. Zrazu buchnęła płomieniem i wielkie rumieńce usiadły na bladej twarzy. W głębokich jej oczach odbiło się coś, czego nie rozumiał – w głębokich jej oczach stały dwie łzy.

Tych łez nie rozumiał.

A ona włożyła zakiet, przykryła warkocze czapeczką i wyciągnęła do niego rękę. Ręka była chłodna, jak lód. Zrobiło mu się smutno i straszno. Chciał ją zatrzymać i wszystkie sło-

wa naraz umarły na ustach przerażone i bezgłośnie. Wydało mu się znowu, że stoją na linii strzałów, że dokoła kule brzęczą, jak pszczoły.

I nie wiedział, czy to te przeklęte kule brzęczą, czy ona szepce, odchodząc:

Dziś niemożna... dziś rewolucja...

Wyszła cicho. Drzwi się same zamknęły bezdźwięcznie, a przez szare kąty pokoju, przez bezład rozrzuconych gratów przeszedł jej cichy szept:

– Rewolucja...

I wszystko dokoła zaczęło szeptać, zaczęło mówić bezdźwięcznie. Z najciemniejszych kątów, z porozrzucanych bezładnie książek zaczęły wstawać miękkie słowa i spadać na wilgotną szarość rozplakanego dnia, niby jakieś echowe bezgłosy.

Odeszła.

Resztę dnia spędził w gorączce. Leżał na łóżku z oczami wlepionymi w sufit i na ustach miał ogień.

Po głowie chodziły jakieś myśli palące. Analizował każde jej słowo, każdy gest. Zdawało mu się, że go nie zrozumiała. A te dwie łzy na oczach! te dwie łzy! I czuje jej rękę w swojej ręce... a dokoła strzelają. Kule pluskają w błocie i koło uszu brzęczą, jak pszczoły. Nie strzelajcie! Kto kazał mordować ludzi?!

Chce wyjść poza linię strzałów... ciągnie ją za rękę... a ktoś ich chwyta za nogi i mówi: – rewolucja!

I nie wie, poco zabijają ludzi... ach! to mania władzy – choroba... Są różne manie – jest mania szybkości, jest mania władzy. Ludzie kręcą karki na samochodach – ludzie zabijają ludzi.

A oni rzucili się w wir walki... poco? Może i to mania władzy... choroba... Nie... nie! oni walczą dla idei. A jednak i im chodzi o władzę... Jakiś towarzysz mówi, że opanowali cały ruch, że są silni...

Siła...

A jednak ci, co strzelają, silniejsi.

Czuje, że są silniejsi – i grunt mu się z pod nóg usuwa... Oni jedni stoją na linii strzałów i nie mają nic dla siebie... Oni jedni...

Powoli zapada w senność... Z szarych kątów pokoju wybiegają jakieś kule fioletowe i tańczą po suficie, i skaczą, i rozplývają się w perłowe mgły.

W tych mgłach ginie szary wieczór, giną wszystkie pytania, wszystkie myśli.

...Siedzi w jakiejś obszernej, mrocznej książnicy przed płonącym kominkiem. W mroku szarej godziny piętrzą się dokoła szafy pełne starych foliałów. Na szafach stoją białe, marmurowe popiersia wieszczów i mędrców. W gotyckim oknie za kolorowym witrażem stanął wieczór i patrzy w płonące na kominku bierwiona, i kładzie swoje miękkie cienie pod mahoniowym stołem na dużym, spłowiałym dywanie. Widać tylko matowe brzozy na mahoniu i białe, marmurowe popiersia na szafach.

Kiedy tu przyszedł, nie wie i nie pamięta, kędy siedł. Wie tylko, że nie jest sam... Wie tylko, że tam w głębi na mahoniowym fotelu ktoś siedzi, ktoś bardzo blisko, a jednak obcy zupełnie.

Nie ogląda się poza siebie i stara się nie myśleć o nim, a jednak ciągle czuje tę bliską obecność.

Przed nim na niskim stole leży duża, stara księga. Miarowo, jednostajnie odwraca pożółkłe, grube stronicę. Przed oczami jego przesuwają się inicjały kolorowe i jakieś tajemnicze znaki na marginesach.

Nie czyta... Oczy bezmyślnie ślizgają się po literach, patrzą na kolorowe hieroglify, a treść sama przesuwa się przez jego świadomość.

Ktoś kiedyś napisał cudowną bajkę o szczęściu, ktoś z czarował ją na wieki dziwnymi znakami w tej starej księdze.

Patrzy i oczom nie wierzy... Nierozwiązana jakaś zagadka! Tam pod klamrą złożoną na ostatniej stronie, w ostatnim wierszu, między ostatnimi literami leży rozwiązanie wielkiej tajemnicy. Więc coraz spieszniej przewraca karty, a ręce nie chcą go słuchać – podnoszą się i opadają bezsilne...

Nie może już odwrócić karty, nie może podnieść ręki...

Ktoś siedzi za nim i przeszkadza.

– Odejdź... odejdź...

Zrywa się i biegnie, i staje, jak wryty.

– Ach, to ty! to ty!

Usta poruszają się same i krzyczą. Oczy stoją nieruchome i patrzą!

– POCO mi przeszkadzasz? poco mi przeszkadzasz?

A ona stoi i szepce:

– Rewolucja...

.....

Obudził się późno w nocy. Ogień miał w ustach i w piersi, a po nogach i po rękach chodziły dreszcze.

Następnego dnia również nie wychodził z domu. Stróżce, która zajrzała doń zrana, powiedziała, że jest chory. Więc przyniosła mu w południe talerz rosołu.

Dzień był szary i mokry. Brudną twarz swoją przycisnął do szyby i patrzył w jego duszę szklanymi oczami i rzucał na nią swój szary smutek.

O zmierzchu znowu spadły śniegi. Zrobiło się białe i cicho. Jakiś wielki bezruch stał nad ziemią – tylko gwiazdy mrugały. Była mroźna noc.

Dnia następnego obudził się zdrowszy. Kiedy wychodził z mieszkania, było jeszcze szaro. Na ulicy i na chodnikach leżał jeszcze niesprzątnięty śnieg.

Po święcie leniwie budził się za sklepowymi ladami i na rynku przy straganach roboczy, powszedni dzień.

Szedł wolno. Na giełdzie miał być o pierwszej. Giełdą nazywali towarzysze małą cukierenkę na Marszałkowskiej ulicy, w której odbywały się codziennie zebrania generalnego sztabu partji. Tam budowano przyszłość, obmyślano plany działań i pisano odezwy.

Przeszedł Elektorálną i Żabią i znalazł się w Saskim ogrodzie.

Na drózkach i trawnikach leżał śnieg, gałęzie drzew uginały się pod szronem. Było cicho i białe. Z bladego nieba na zaczarowane białością drzewa szło uroczyste zamyślenie.

Zdawało się, że uspokoiły się wszystkie niepokoje. Białe jakieś anioły z różdżkami oliwnymi przeleciały nad ziemią. Wszyscy ubrali się świętecznie i wyszli z domów – i patrzą w tę białość, jak w zorzę. I kładą się jakieś białe płatki na wszystkie rany serdeczne, na wszystkie krzywdy największe.

A drzewa stoją zaczarowane białością, jak w bajce.

Usiadł na ławce i marzył...

...Gdyby tak można było odejść w tę białość, w ten śnieg. Wziąłby ją, jak małe dziecko, na ręce, grzałby ją swoim oddechem i niósł gdzieś na kraj świata pod te płatki białe, pod te szrony srebrzyste. Poszedłby po szczęśliwość swoją hen! aż tam, gdzie pole do nieba wyrasta zaspami śnieżnymi i leży takie wielkie, takie srebrne, bez cienia, bez granicy...

Przez aleję od strony placu powiał wiatr. Z drzew posypały się szrony. Poczł przejmujący, ostry chłód, więc zerwał się z ławki i poszedł w stronę Saskiego placu.

O pół do pierwszej był już na giełdzie. Była to drugorzędna, mała cukierenka gdzieś na końcu Marszałkowskiej ulicy. Po lewej stronie od wejścia był mały pokój z oknem wychodzącym na ciemne podwórko. Tylko jeden stół stał pośrodku. Za stołem tym codziennie o pierwszej zasiadał cały komitet.

W cukierni panowały patryjarchalne stosunki. Gościom usługiwał syn właściciela, nieraz zastępowała go brudna z zakasanyimi rękawami kucharka.

Pokoik był prawie ciemny. Z wąskiego podwórka przez szyby zaklejone zdrapanym w paru miejscach i brudnym witrażem nawet w dni słoneczne sączyło się niepewne i szare światło. Na ścianach wisiały dwa oleodruki w złożonych, starych ramach. W najciemniejszym kącie pokoju na złamanym, krzywym stoliku w papierowej doniczce stała sztuczna palma sucha i zakurzona. Nad nią, pod rozpiętym na ścianie papierowym wachlarzem wisiała wyblakła grupa familijna z tłustym i niezgrabnym cukiernikiem pośrodku.

Dziś zastał prawie wszystkich w komplecie. W pokoiku było pełno dymu i głosów. Za stołem na pokrzywionych i brudnych krzeselkach siedziało kilkunastu mężczyzn.

Znał wszystkich. Pracował z nimi jeszcze przed wyjazdem na Syberję. Byli to ludzie młodzi. Dwaj tylko mieli zmarszczki na twarzy i srebrne włosy nad czołem.

Każdy z nich miał za sobą etapy przymusowych wędrówek, cel więziennych zmęczenie i zdenerwowanie.

Mieli wielki zapal i wielką wiarę.

Narada dzisiejsza była wyjątkowo ożywiona. Mówili głosem przyciszonym i słuchać było przyśpieszone oddechy i szmer słów. Niepokojące jakieś wieści przychodziły z północy. Czekali jakiegoś głosu, któryby ich zawołał. Zdawało się, że lada chwila nastąpi jakiś straszny wybuch, że rozszerzą się jakieś pożary ogromne i niszczące. Nad ranem, jeszcze o zmroku, snuli się po mieście jacyś ludzie obcy, w biały dzień napadano i rabowano przechodniów. Jakiś piekielny zamęt panował wszędzie.

Usiadł za stołem i słuchał. Pierwszy raz w życiu poczuł się obcym wśród tych ludzi. Denerwowały go ich słowa... To przechwałki... to tylko marne przechwałki! Mania władzy... To oni ciągnęli ją w wir walki, to oni rzucali ją pod śmiertelną przemoc nahajek i karabinów. Oni powtarzali jej codziennie:

– Rewolucja... rewolucja...

A ona im wierzy, a ona idzie za nimi... na śmierć...

Zerwał się i bez pożegnania wyszedł.

Rozprzęgły się wszystkie nerwy. Beładnie i chaotycznie rozbiegły się po mózgu myśli... Kto dał im to prawo nad nią? On jeden ma do niej prawo... a oni mu je kradną dla sprawy... nie! nie dla sprawy, a dla tej manii władzy...

Przez całe trzy dni następne nie widział nikogo. Żył, jak w pustelni, w swoim ciasnym i ciemnym pokoju na trzecim piętrze.

Był chory. Leżał na łóżku z zamkniętymi oczami i nie spał. Opanowały go tęsknoty. Przychodziły z jakichś dalekich stron i budziły umarłe wspomnienia.

Cała niepamięć zginęła – wszystko pamiętał, wszystko przeżywał po raz drugi.

Oto suną przed nim widmowe jakieś procesje, długie korowody.

Tak boleśnie smutno!

...Idzie z tornistrem do szkoły. Na ulicy pełno drzew. Żółto-czerwone liście spadają mu pod nogi, kładą się na nierównym i wyboistym bruku małomiejskim. Żółto-czerwone liście... To kolorowa jesień rozściela swój kobierzec wzorzysty. A on idzie przez tę umierającą czerwień, tornister ciąży mu na plecach... Nachyla się i podnosi liście najczerwieńsze, najjaskrawsze i wkłada je do podręcznika, który niesie w rękę.

W klasie gwarno... z katedry profesor wykłada historję. Profesor ma szeroką, kwadratową twarz, czerwone włosy i fioletowy nos. Z pod grubej, czerwonej wargi wyglądają czarne, połamane zęby... Czyta z jakiegoś podręcznika o rozbiornie Polski. Podręcznik bardzo krótki i bardzo fałszywy. Profesor pastwi się nad słuchaczami, z lubieżną radością podkreśla wszystkie fałsze, wszystkie oszczerstwa.

A on otworzył książkę i patrzy na czerwone liście, zbierane po drodze... Każde słowo tego nienawistnego profesora zapada mu w duszę... Czuje, że dzieje mu się krzywda... To wszystko nieprawda, i poco on to wszystko mówi?

Więc zrywa się i krzyczy na cały głos:

– To fałsz, Iwanie Iwanowiczu! To bezczelne oszczerstwo, Iwanie Iwanowiczu!

I ciska swój podręcznik na środek klasy pod nogi osłupiałego profesora. Kartki rozleciały się po podłodze, z książki wypadły czerwone liście klonowe... Czerwone liście...

– Jak ty śmiesz? – krzyczy oburzony profesor. – Widzicie, jaki buntowczyk! Ja ciebie nauczę... to bunt...

I wstaje z tych czerwonych liści klonu czerwony bunt i piekielnie ściska mu krtań... już nie może powiedzieć słowa, nie może nawet pluć w twarz zbliżającemu się do niego z pięściami profesorowi... tylko usuwa się do drzwi... idzie... idzie coraz spieszniej. Na ulicy pełno drzew, czerwone klonowe liście szeleszczą mu pod nogami...

Tak boleśnie smutno!

Stoi w szarym, mrocznym kurytarzu. Po kątach pełzają cienie. Przed nim długi szereg zaryglowanych drzwi, w końcu kurytarza duże, zakratowane okno.

Więzienie.

Stoi w szarym, mrocznym kurytarzu. Dozorca nagli go, żeby wszedł do celi. Wtem wprowadzają nowego więźnia. Mały, błydy chłopak stąpa nieśmiało, nogi mu się plączą, oczy z pod nasuniętej głęboko czapki patrzą z bojaźnią i rozbiegają się po czarnych, zaryglowanych drzwiach.

I nagle dozorca rzuca się na więźnia.

– Zdejm czapkę – krzyczy dzikim głosem i z całej siły wali go pięścią między oczy.

Czapka zsunęła się z głowy, z nosa połała się krew.

I oto – czerwonej krwi wstaje nagle bunt, idzie do niego przez ten długi więzienny kurytarz, przepelza pod zaryglowanymi drzwiami i chwyta go za gardło.

Pięście podnoszą się same.

– Jak ty śmiesz? – charcze nieprzytomnie i rzuca się na dozorcę.

Długi kurytarz więzienny wydłuża się jeszcze bardziej, zakratowane okno ucieka gdzieś i maleje, tylko czarne, zaryglowane drzwi stoją dokoła.

Ktoś go tak boleśnie kopie... czuje ciężkie obcasy na rękach, na piersiach... fioletowe mgły kładą się na oczy... a przez nie płynie czerwona struga krwi, jak po twarzy więźnia.

Tak boleśnie smutno!

I znowu kolorowe jesienne popołudnie... Na betonowy chodnik spadają bez szelestu i szmeru żółtoczerwone liście. Na balkonach wysokich, szarych kamienic tu i owdzie czerwieni się dzikie wino, i więdną w jesiennym słońcu ostatnie jesienne kwiaty.

Na ulicy cicho. Gdzieś daleko szumią turkoty wielkiej, gwarnej ulicy.

Idzie wolno. Liście lecą pod nogi.

Przed nim idzie jakiś wysoki, szpakowaty mężczyzna... Idzie, jak on, wolno.

Raptem otaczają go jacyś ludzie... Ktoś krzyczy donośnym głosem:

– Nie rusz! to nie on!

I jednocześnie padają dwa strzały. Wszyscy rozbiegają się i giną gdzieś w głębi ulicy. Na chodniku w kałuży krwi leży ów szpakowaty mężczyzna... jeszcze żyje, podnosi głowę i wspiera się na rękach. Z pod siwiejących włosów po twarzy płyną strugi krwi, a białe, szklane oczy patrzą na niego tak dziwnie groźnie i strasznie.

Skrwawione usta poruszają się omdlałe i szepczą, i syczą:

– Za co?

Mała, kilkunastoletnia dziewczynka pochyła się nad konającym i piskliwie krzyczy:

– Wiesz za co... skoro cię zabili, to wiesz za co...

Białe oczy konającego robią się coraz bielsze, głowa bezwładnie uderza o szary chodnik...

A on odpycha brutalnie dziewczynę od trupa i idzie... idzie przez czerwone liście, przez krew...
Ach, jak smutno! jak dziwnie smutno!

I nagle otacza go jakaś baśń kolorowa... Czarowna, odwieczna baśń miłości...

– Gdzie ty jesteś, ukochana i jedyna? Otoczyli ciebie jacyś ludzie, ukradli mi ciebie jacyś ludzie... Dokoła ciebie rozlał się wielkim morzem, oceanem bezbrzeżnym czerwony bunt...

– Gdzie ty jesteś, ukochana i jedyna? Oczyma ciebie szukałem – i oczy oślepiły od patrzenia w słońce... A ty stoisz wśród czerwonego morza, pod wielką łuną, i ogniste fale kładą się u twoich nóg... i ciebie chcą porwać... Przez tę czerwień nie widzisz mnie, przez te szумы nie słyszysz mnie...

Kładzie się na jego serce, jak biały sen, ta odwieczna baśń... Okwitające drzewa na jego serce strząsają swoje kwiaty... Białe motyle spadają na jego serce...

Odwieczna baśń...

.....

W malignie, w półśnie spędził całe trzy dni. Stróżka przynosiła mu obiad, robiła herbatę. Ona jedna myślała o nim.

Zresztą było mu wszystko jedno – leżał napoty przytomny, napoty pijany. Nie przerażało go to, że jest sam, myślał, że tak było zawsze, i że tak zawsze będzie. Tylko myśl o niej wracała ciągle. Widział ją nad jakąś wielką otchłanią z płonąca żagwią w ręku... Chciał do niej iść, ale była między nimi otchłań.

O zmierzchu w wigilję nowego roku przyszła wreszcie do niego. Była smutna, zamyślona. Oczy świeciły się jakimś dziwnym światłem, a na policzkach leżała matowa bladeść.

– Więc nie gniewacie się na mnie? – pytał szczęśliwy, że ją widzi. – Myślałem, że już was nie zobaczę. Zdawało mi się, że was czemś nierozmyślnie uraziłem.

– Wiecznie jedno i to samo. Leży chory i niewiedzieć o czym myśli. Lepiej byście zrobili, gdybyście byli napisali o swojej chorobie. Byłabym już dawno do was przyszła.

Usiadła przy nim na łóżku.

– Co wam jest? – pytała, zaniepokojona bladeścią jego twarzy.

– Nic... nic zupełnie... Bolała mnie głowa i miałem gorączkę... Co u was słychać?...

– Wszystko dobrze. Mieliliśmy trochę więcej roboty. Byłam na kilku wiecach. Nasi górą...

Zerwał się z łóżka i zaczął chodzić po pokoju.

– Nie mówcie mi nic o partji – mówił po chwili – choć raz nie mówcie mi o partji. Tak mi jakoś smutno, kiedy myślę o was wszystkich. Oto zdaje mi się, żeście przestali być ludźmi i staliście się szeregiem wielkich czynów, ale automatycznych. Robicie coś rycersko-bohaterskiego, coś nieludzkiego i giniecie, jak nieludzie.

– Przecież niedawno jeszcze mówiliście sami, że trzeba być człowiekiem, żeby umieć zginąć – wtrąciła nieśmiało.

– Ach! zginąć dla sprawy... – ciągnęła po chwili – zginąć w czynie! Co za rozkosz! co za szczęście! Budować wielki gmach i życie swoje pod kamień węgielny położyć – i wierzyć, że gmach ten o chmury oprze się dachem! Umieć życie swoje rzucić, jak łachman niepotrzebny, pod kolby i nahajki! Co za rozkosz! co za szczęście! Mówicie, że ludzie przeradniają się w jakieś automaty walczące, a niedawno jeszcze mówiliście, że są twórcami. Patrzcie – oni krwią swoją na brukach ulic piszą towarzyszom bahaterskie testamenty! Oni... POCO to wszystko mówię? Wiecie lepiej ode mnie, w jakie świtanie oni patrzą i jakiego dnia wyczekują...

Urwała...

Siedzieli oboje, milcząc. Była szara godzina zimowego popołudnia. Coraz grubsze cienie wypływały z kątów pokoju i słały się, jak duchy, między nimi.

Było coś kłopotliwego w tem milczeniu, które zapanowało w pokoju. Słowa jej w jego duszy rozbudziły jakieś dziwne uroki. Powiał na niego wielki czar bohaterstwa, tryumf jakiegoś zwycięstwa, tęsknota za wczorajszym snem. I jednocześnie wyrósł, jak z pod ziemi, piekielny strach, że to ona mówiła.

I znowu ujrzał ją nad otchłanią z płonąca żagwią w ręku. Chce ją pochwycić, chce ją ratować – i nie może, więc staje przed nią i kłamie jej i sobie:

– To wszystko nieprawda! to wszystko patologia. Chcecie walczyć o prawo ludzkie, gwałcąc jednocześnie zupełnie świadomie już nie te najwyższe, lecz najelementarniejsze prawa swoje, wasze, jako człowieka. Błaznicie w wielkim mroku, a jakieś złudne majaki wiodą was na manowce...

I znowu zaczął biegać po pokoju. Zrobiło mu się nagle wstyd za słowa, które powiedział. Zrobiło mu się nagle wstyd, że kłamał jej i sobie, podbiegł do niej i zaczął niemal krzyczeć:

– Nie wiercie mi! nie wiercie! Mam gorączkę... Myśli płaczą się, a słowa wasze, jak ogień, skaczą po mózgu...

Był bardzo blady. Usta i ręce drżały febrycznie. Usiadł znowu na łóżku.

– Nie myślcie już o tem – mówiła, pochylając się nad nim. Dziś, w wigilję nowego roku bądźmy jak dzieci, które nic nie pamiętają.

– Tak! tak... bądźmy, jak dzieci – powtórzył za nią – jak małe dzieci. Prawda! jutro nowy rok... Czy wy lubicie spotykać nowy rok? Czy macie jakie dobre wspomnienia z ubiegłych lat? Ja nie mam. Moje nowe roki omijały mnie zawsze. Rok temu byłem we wschodniej Syberji, w głuchej wsi jakuckiej. Było nas, politycznych, sześciu. Mieszkaliśmy wszyscy razem w chacie o dwóch dużych izbach, oddzieleni od świata wielką, śnieżną tajgą, stęsknieni do życia, z którego nas wytracono. Ta tęsknota łączyła nas, ale tylko pozornie... W gruncie żyliśmy ze sobą źle. Oni byli doktrynerami, mieli jakieś strasznie ciasne formułki, w które włączali swoje życie. Nie rozumieli mnie i kłócili się ze mną. Pamiętam, w wigilję nowego roku przyjechał do wsi naszej isprawnik. Przywiózł dla nas złe nowiny. W gubernji uznano, że jeden z naszych towarzyszków, student kijowski wywiera na nas zły wpływ. Kazano mu przeto jechać w głuchą tajgę do wsi odległej o dwieście wiorst. Siedzieliśmy więc smutni i niepewni swego losu – dziś on, jutro my... Łupiny kruche, rzucone na zawrotne wiry mórz bezbrzeżnych... Tak spotykaliśmy ten nowy rok, który dziś odchodzi.

Długo jeszcze opowiadał jej o sobie. Mówił jej o życiu, które było szeregiem bohaterskich wysiłków i wiecznych zmagania się z losem. Słuchała go uważnie, biegła za nim przez cele więzienne, przez zakamarki policyjne, przez tajgi pustynne i śnieżne.

Było już zupełnie ciemno, kiedy wyszła od niego i zginęła w tłumie przechodniów na jednej z ruchliwych ulic miasta.

A on spotykał nowy rok.

Do swego małego pokoju na trzecim piętrze zaprosił wszystkie swoje lata przeżyte, rozbudził wszystkie wspomnienia i patrzył z wielką ufnością w sfinksową twarz zbliżającego się roku.

A nowy rok mrokiem słał się po ziemi.

Z mroku szły pomruki złowróżbne. Zrywały się jakieś głosy, jakieś wołania, wybuchały krzykiem i zamierały bez echa.

Tak szedł nowy rok...

On jednak wytrzeźwiał i wyzdrowiał.

Otworzyły mu się oczy na wszystko – i przeląkł się. Oto niemal nie zburzył tego, co budował przez całe życie. Na ołtarzu swoim nie chciał złożyć ofiary ostatniej... I zrobiło mu się wstyd przed sobą samym i przed nią. Zaczął żałować, że tak dobrowolnie usunął się od roboty. Obudziła się w nim dawna zaciętość.

Rzucił się w wir walki.

Zaczął znowu chodzić na giełdę. Przychodził pierwszy, wychodził ostatni. Pół dnia spędzał w zadymionym, małym pokoju, w gorączkowej atmosferze krzyżujących się zdań, szepcótów, poleceń i rozkazów.

Nieraz, przyszedłszy pierwszy, w oczekiwaniu towarzyszków, bezmyślnie wpatrywał się w wiszącą na ścianie pod papierowym wachlarzem wyblakłą fotografię rodzinną. I czasem zdawało mu się, że pomiędzy opasłym cukiernikiem w długim, czarnym surducie i mizerną jego połowicą na tle dekoracyjnie malowanego pejzażu, pod girlandą wyblakłych, papierowych liści siedzi bezmyślnie zadowolony z wczorajszego obiadu, z wygodnego obuwia i ze sprężynowych materaców – szczęście...

Oni to nazywają szczęściem...

I wówczas z brudnych kątów pokoju, z pod oplutych ścian wypęła szara i nudna melancholia, i znowu powtarzała:

– Niewarte... niewarto...

Głosy te jednak tłumili echa strzałów i groźne wybuchy strasznej podziemnej walki...

Otrząsał się z tych myśli i jednocześnie czuł, że na dnie tego chwilowego zniechęcenia kryje się wylękniona myśl o niej... zawsze o niej...

I wtedy z większym jeszcze zapalem brał się do roboty.

Pewnego dnia, gdy debatowano nad jakąś kwestją programową, wpadł do cukierni mizerny, mały brunecik w studenckiej czapce. Miał na sobie szary letni paltot zapięty pod szyję.

Przynosił jakieś nowiny. Znać było, że biegł.

Usiadł za stołem w paltocie i w czapce i mówił prawie szeptem:

– Bardzo źle się stało... Ledwie mogę myśli pozbierać... Nigdy nie widziałem tak blisko nieszczęścia... Na rogu Nowogrodzkiej Wanda zabiła komisarza... Nieszczęście!

Ledwie usłyszał to imię krew mu zbiegła do serca i zrobił się biały jak ściana.

– Wanda... Wanda... więc już się stało!... krzyczało w nim wszystko strasznym głosem. Cały pokój zatoczył się, ściany zaczęły się pochylać i zbliżać do siebie, a papierowy wachlarz szumił mu nad uchem:

– Wanda... Wanda...

A pochylony nad stołem towarzysz szeptał coraz ciszej:

– Szedłem Marszałkowską i widziałem wszystko... Zabiegła mu drogę, wyrosła przed nim jak z pod ziemi, wyjęła z mufki maszynę i strzeliła raz i drugi. Była blada... Komisarz upadł – żołnierze rzucili się na nią. Widziałem, jak ją kopali nogami i bili kolbami. Leżała na chodniku mała, wątła i na czole miała krew. Nie krzyczała... Pierwszy raz zbliżając się do nieszczęścia... Kłuli bagnietami, a potem zaczęli strzelać do przechodniów... Uciekłem. Po drodze spotykałem spieszące patrole – potracali i bili przechodniów.

Umilkł.

– Kto ma, broń, niech nie wychodzi na ulicę – rzucił ktoś z głębi pokoju.

Ponure jakieś milczenie zapanowało wśród zebranych. Stała przed nimi kopana nogami i bita kolbami z krwawą plamą na czole. Stała przed nimi, jak z pod ziemi wyrosła, majestatycznie poważna i spokojna... A oczy paliły się, jak dwa ognie...

Siedział między nimi błąd z oczyma nalanymi krwią.

Więc to ona... więc już spełniła się jego ofiara...

Kto powiedział, że to ona? Cha... cha... ktoś mówił... Ktoś przed chwilą mówił... Ach, to Rafał... Jak on kłamie! jak on bezczelnie kłamie...

Bili ją... krew na czole, na ustach... Ściany pokoju pochylają się nad nim... papierowy wachlarz szumi... z pod wachlarza z wyblakłej fotografii patrzy na niego ludzkie szczęście...

Precz!

Idzie... idzie do niego od okna... rewolwer dymi się w rękę... z pod małej czapeczki płynie krew... Pochyla się nad nim i szepce:

– Chodź! już przyszedł czas...

Więc wstaje i idzie... Wyszli gdzieś na wielkie pole i idą po rosach pod świtanie... Na niebie dzień się jeszcze nie robi... na niebie jeszcze ciemno, tylko wszędzie pełno oczekiwania zbliżającego się dnia. Na horyzoncie, nad samą ziemią już kładą się jakieś seledyny, jakieś niebiesko-zielone rozświetle.

I znowu pochyla się nad nim i znowu szepce:

– Do zorzy jeszcze daleko... Dzień wszędzie nieprędko, ale już na nas czas.

I zaczynają budować dom. Ona rozdziera sobie pierś, wyjmując czerwone, żywe serce i kładzie je pod kamień węgielny. A oczy jej palą się jak dwa ognie...

Prędzej... prędzej! byle zobaczyć słońce...

A on muruje dom. Dźwiga kamienie, duże, ciężkie kamienie, układa je i zalewa cementem...

Prędzej... prędzej! byle zobaczyć słońce ze szczytu...

Cement chwytając kamienie, wielki dom rośnie. A z wyblakłej fotografii rodzinnej schodzi zamiast słońca szara i nudna melancholia i mówi:

– Niewarto... niewarto...

I zaraz potem pada strzał – jeden i drugi... Ach, jak biją! jak ją strasznie biją!

Przestańcie, już jej niema!

Przeciera oczy. Więc to wszystko prawda! Chce wyjść. Zastępują mu drogę i nie puszczają.

– Nie wychodźcie, macie przy sobie rewolwer.

– Rewolwer – powtarza nieprzytomnie – to dobrze, że go mam.

– Słyszeliście przecie, że na ulicach rewidują. Nie wychodźcie. Pełno patroli.

– Więc co? więc co?

Rozpycha stojących przed sobą i zbliża się do drzwi.

– Mówicie, że rewidują... Więc co? Ja mam przy sobie rewolwer i nie dam się zrewidować...

I jednocześnie słyszy, jak pod papierowym wachlarzem na wyblakłej rodzinnej fotografii śmieje się bezmyślne, głupie ludzkie szczęście. Słyszy i idzie do drzwi.

.....

Na rogu Żórawiej otoczył go patrol.

PAN MARCIN.

Pan Marcin już drugi miesiąc siedział w Warszawie. Przywłókł się z głuchej Litwy, z dalekiej wsi i zamieszkał w jednym z podrzędnych hotelów w handlowej dzielnicy miasta. Zajął pokoik niewielki gdzieś prawie na strychu dwupiętrowej starej oficyny. We dnie było tam nieznośnie gorąco, wieczorem zalatywał z kuchni hotelowej przykry zapach smarzonych tłuszczów.

W pokoju tym przez niecałe dwa miesiące pan Marcin posiwał i pochylił się do ziemi. Dawni znajomi nie poznaliby go teraz. Miał coprawda sześćdziesiąt lat z okładem, dotychczas jednak nie czuł starości. Ten rok dopiero go złamał.

Mieszkał dotychczas w zapadłym kącie na Litwie. Folwark jego był wielkimi borami odgrodzony od świata. Przeszło trzy mile szczerego piasku, w którym grzęzły konie i koła, dzieliły go od tej kolei, a pięć mil od najbliższego miasteczka.

Był wdowcem. Z żoną żył bardzo krótko. Umarła na suchoty, pozostawiając mu dwóch synów – Konrada i Jerzyka. Miał we wsi sąsiedniej na wiejskim cmentarzu, pod rozłożystą, starą lipą swój grób, w którym stały trumny z kilku pokoleń. W tym grobie było miejsce i dla niego.

Sąsiedzi utrzymywali, że po śmierci żony zdziczał zupełnie. Zaszł się w swoim majątku i oddał się całej pracy na roli i wychowaniu dzieci. Drzwi swego domu zamknął przed ciekawymi oczami sąsiadów i sam nie bywał nigdzie. Jakaś wielka gorycz osiadła na dnie jego duszy i zrobiła go odludkiem i mizantropem.

To też po okolicy krążyły o nim najrozmaitsze plotki. Jedni utrzymywali, że jest masonem, bo nigdy nie widywano go w kościele, drudzy, że jest warjatem, bo parobkom płacił dwa razy większe pensje, niż wszyscy. Przebąkiwano nawet tu i owdzie, że jest socjalistą. W okolicy wyraz ten w ostatnich czasach nabrał wyjątkowo niedobrego znaczenia. Socjalistami nazywano tylko koniokradów, pijaków, chłopów umiejących czytać – i pana Marcina. A najbliższy sąsiad, pan Jan, twierdził stanowczo, że podczas ostatniej swojej wizyty u pana Marcina widział na biurku herezje Buckla i Hegla. To najwięcej skompromitowało pana Marcina w oczach sąsiadów.

A pan Marcin robił się coraz większym odludkiem. Coraz większy mur wyrastał pomiędzy nim a sąsiadami. Z początku, zajęty dziećmi, nie czuł tej samotności, ale kiedy dzieci poszły do szkół, na dnie jego duszy zaczął osiadać jakiś wielki żal do ludzi.

Stał się naprawdę dziwakiem.

Nauczył się rozmawiać sam z sobą. Nieraz o zmierzchu całe godziny spędzał w ciemnej alei lipowej, gdzieś na końcu sadu, albo chodził z kąta w kąt po dużej, prawie pustej sali. Wówczas to właśnie słyszano jakieś urywane słowa rozmowy, którą prowadził sam ze sobą.

Dworek w Zaborzu był bardzo stary. Budował go dziad pana Marcina. Na gontowym dachu tu i owdzie rósł mech zielony, modrzewiowe słupy, podtrzymujące dach werandy, nadpróchniały i pokrzywiły się w paru miejscach. Ze ścian tynk opadał. Wewnątrz były jesionowe i mahoniowe meble, stare, odwieczne graty. W sali były dwa lustra w złożonych ramach ze złożonemi konsolami. Panna Aniela, stara ochmistrzyni i klucznica pana Marcina, utrzymywała, że w lustrach tych odbijały się czasem jakieś mgły, że przez szkła te przesuwają się jakieś postacie niewyraźne, bez konturów, jakieś w kątach pokoju zatracone bezkształty. Pan Marcin zaś twierdził, że to był kurz, o którego ścieraniu zapomniała panna Aniela. A po starym, pustym dworze w zimowe, długie wieczory chodziły jakieś głosy tajemnicze, pukały jesionowe biurka i skrzypiały szafy. Dopiero latem ginęła tajemniczość pustych komnat, meble przestawały rozmawiać – i cały dwór się ożywił.

I pan Marcin po powrocie synów ze szkół stawał się odrazu innym człowiekiem – nie błąkał się po sadzie, nie rozmawiał sam ze sobą i w polu przesiadywał krócej.

Nic jakiegś wielkiej przyjaźni zawiązywała się pomiędzy nim a dziećmi coraz mocniejszym węzłem. W ciszę zapadłej wsi, w bezgłasy wielkiej samotności dzieci przywoziły ze świata nowe myśli, pragnienia jakichś lotów ogromnych i podniebnych, wieczne dążenie naprzód i wieczny bunt przeciwko starym formom. On słuchał i starał się rozumieć.

I rozumiał...

Potem, kiedy już byli obaj na uniwersytecie w Warszawie, kiedy zauważył, że obaj z wiarą w zwycięstwo wypowiedzieli wojnę staremu łaadowi i rzucili się w zawrotny wir walki, zaczął się o nich bać i po raz pierwszy zaprotestował.

– Zamiast uczyć się, chcecie świat reformować – mówił – chcecie budować nowy porządek, nie znając ani błędów, ani zalet starego. Więc nie zburzycie i nie potraficie zbudować. Pozostawcie to starszym.

– Ależ, ojcie – protestowali gorąco – ci starsi, o których ojciec mówi, są już tylko zjadaczami chleba, nie zaś bojownikami nowych idei. Oni mają rodziny, oni mają obowiązki.

Na tym punkcie długo nie mogli się z sobą pogodzić. Aż wreszcie z północy przysła burza. Uczące się dzieci, nie znające ani zalet, ani wad starego ustroju, rozkołysały wichurę i rozbudziły ludzi śpiących. Ludzie zaczęli ze snu wstawać – zwykli zjadacze chleba stawali się bohaterami. Uczące się dzieci nauczyły starszych pragnąć lotów ogromnych i dążyć naprzód.

I pan Marcin w tym roku już nie protestował, nie bronił im jechać do Warszawy, jakkolwiek uniwersytet był już od wiosny zamknięty, a nawet na wyjeździe powiedział:

– Kto wie, może mieliście rację, może rzeczywiście tamci są tylko zjadaczami chleba – ale to wszystko takie smutne...

Machnął ręką, ucałował obu serdecznie i wrócił ze stacji do domu.

Szła jesień... rok był bardzo ciężki. Połowa sprzętu zmarniała pod deszczem, pomór jakiś padł na bydło – pozdychały najlepsze sztuki. A po wsiach szedł niepokój – chłopci zaorywali miedze graniczne i rąbali lasy.

Dni były dżdżyste i szare.

W Zaborzu było smutno. Raz na tydzień poczta przynosiła nowiny ze świata. Przychodziły echa dalekich wybuchów, opisy jakichś nierównych zapasów, skrytobójczych zamachów i – bohaterstw.

W szare godziny jesiennych zmierzchów ogarniał pana Marcina niepokój. Złe przeczucia kładły się na sercu, a myśli, jak obłądne żórawie, tłukły się po głowie. Nużyła go martwa cichość wsi, szare deszcze, monotennie brzęczące po szybach, i wieczna samotność. Biegł myślą do dzieci, wyczuwał ich zmartwienia i radości, widział zbliżające się do nich jakieś wielkie nieszczęście i nie wierzył w zwycięstwo.

Tak przeszła jesień i zima. Na wiosnę, kiedy był zajęty siejbą, otrzymał z poczty list od studenta Wileńskiego, przyjaciela i kolegi Konrada, donoszący, że obaj jego synowie zostali aresztowani, że siedzą w fortach pod cytadelą i że przyjazd jego jest nieodzownie potrzebny.

Wiadomość ta, jak piorun, spadła na niego.

Więc to było to nieszczęście, które przeczuwał? Więc to już przyszło? Sami tego chcieli. Zachciało się odbudowywać świat – i ładnie odbudowali... Posiedzą – to im się odechce.

Tak rozumował pan Marcin, grzęznąc w wilgotnych skibach ziemi, albo o zmierzchu tłukąc się z kąta w kąt po dużej, prawie pustej sali – i ani myślał o wyjeździe. Był jednak coraz smutniejszy. Niedobre myśli opadały go, kiedy zasypiał, nieraz budził się w nocy przełęczony i niespokojny. Miał wyrzuty sumienia.

Panna Aniela, przed której okiem nic się we dworze ukryć nie mogło, twierdziła nawet, że widziała kilka razy, jak płakał. A za każdym razem, spostrzegł, iż go podpatrzyła, mówił, że go od wiatru oczy boją. Ale Panna Aniela nie wierzyła i namawiała go, żeby jechał do Warszawy,

Zrazu ofuknął ją dziwnie szorstko, potem tłumaczył się, że żadną miarą wyjechać nie może, bo siejba rozpoczęta i w polu dużo roboty, aż wreszcie kazał zaprząć konia do bryczki i pojechał do miasteczka.

Wyjechał o świcie, wrócił późno. W parę dni potem, będąc w miasteczku na mszy, panna Aniela dowiedziała się, że pan Marcin pożyczył od żyda pieniędzy.

A pan Marcin po powrocie z miasteczka zamknął się w gabinecie i przez cały dzień nie wychodził. Z dziwną pedanterją układał szczegółowy wykaz robót, które miały być dokonane po jego wyjeździe. Przewidział wszystko, nie opuścił najmniejszego szczegółu, a w końcu dodał, że wszystko to musi być co do joty spełnione, bo cały sprzęt tegoroczny jest już sprzedany żydowi.

Nazajutrz pożegnawszy się ze wszystkimi, i zapowiadając bliski powrót, wyjechał do Warszawy.

Tu zaczęła się jego męka.

Chodził od policji do żandarmów i od żandarmów do policji. Jedni odsyłali go do drugich. Wszędzie panował zamęt niedoopisania – wszystkie więzienia były przepełnione.

Zmęczony i zdenerwowany wracał do domu po to, żeby nazajutrz od rana rozpocząć zwykłą wędrówkę. Po kilku dniach nareszcie uzyskał prawo widzenia się z dziećmi.

Siedzieli już przeszło miesiąc – Konrad w cytadeli, a Jerzy w forcie. Nie mogli się ze sobą komunikować. Konrad był błądy i twarz miał nabrzmiałą, Jerzy zeszczupłał i miał jakieś niezdrowe wypieki na policzkach, zupełnie jak matka jego przed śmiercią.

Rozmawiał z nimi przez gęste siatki druciane, a asystujący żandarmi chciwie łowili każde słowo z ust i każde spojrzenie z oczu.

Widzenia te rozstroiły go jeszcze bardziej. Stojąc pod siatką drucianą, która oddzielała go od syna, czuł się niezmiernie upokorzonym i bezsilnym.

– Pokażcie mi go, jak zwierza w klatce – powiedział raz asystującemu żandarmowi.

– Niczawó – flegmatycznie, z uśmiechem odpowiedział mu żandarm.

Odpowiedź była bardzo lakoniczna i nic nie mówiąca, ale pan Marcin zawrzał gniewem.

– Poczekaj, może i my wam kiedyś powiemy, „niczawó”... – rzucił ze złością i wyszedł z pokoju widzeń.

I znowu w dalszym ciągu chodził od Annasza do Kaifasza, niezmordowany i niezrażony niczem. Aż wreszcie oznajmiono mu, że Jerzy będzie wolny i że go etapem odeślą do granicy. I rzeczywiście, w początkach czerwca Jerzego wywieziono z Warszawy.

Pan Marcin dowiedział się o terminie wyjazdu i był na dworcu. Rozmawiali ze sobą pół godziny. Z pieniędzy, które był zabrał ze sobą, dał mu dwieście rubli i wyprawił do Zurychu.

– W Zurychu będzie ci najlepiej – mówił, kiedy się rozstawali. – Przyślę ci papiery z uniwersytetu – skończysz medycynę za rok a tymczasem siedź cicho i czekaj... Może się z tego chaosu coś wyłoni... Pisz!

Ucałowali się po raz ostatni, a kiedy pociąg ruszył, dwie duże łzy spłynęły po twarzy pana Marcina.

Po trzech dniach otrzymał kartę z Wiednia, potem z Zurychu.

Następny list zaniepokoił go trochę. Jerzy pisał, że i w Zurychu jest robota, że poznał nowych ludzi, takich banitów, jak on, i że od razu wziął się do pracy. Tajemniczy ton listu nie podobał się panu Marcinowi.

– Ani słówka o uniwersytecie – burknął po przeczytaniu listu. – Robota! dorobi się nowej biedy...

I jednocześnie był rad, że Jerzy nie próżnuje. Budziła się bowiem w nim jakaś głucha zaciętość przeciwko temu staremu porządkowi, który, padając, miażdżył najlepszych.

A tymczasem znowu chodził cierpliwie pan Marcin od żandarmów do policji i od policji do żandarmów w sprawie Konrada. Wytoczono mu proces, nie ukrywano przed panem Marcinem, że proces może się źle skończyć, i jednocześnie łudzono go obietnicami, wyznaczano

coraz nowe terminy, a nikt nie chciał powiedzieć, jak długo to wszystko potrwa. Więc siedział w Warszawie i czekał.

Czuł się niezmiernie znużonym tem życiem. Dni, jak długie lata, kładły się na nim i przytłaczały go do ziemi. Codziennie nowe zmarszczki przybywały na twarzy, a na pochylonej naprzód głowie – nowe białe włosy.

Chodził w długim zielonym, spłóviałym od słońca paltocie, ze skrzydłami zamiast rękawów, i w dużym, filcowym kapeluszu, nasuniętym na oczy. W jednej ręce miał zawsze gruby kij sękaty, w drugiej małą fajeczkę, z którą nie rozstawał się nigdy.

Pewnego dnia podczas rewizji ulicznej odebrano mu kij. Żołnierze, widząc jego strój dziwny i zaniedbany, obeszlę z nim brutalnie. Barczysty i wysoki drab po zrewidowaniu pchnął go z całej siły i krzyknął:

– Ubirajsia!

Pan Marcin zatoczył się i oparł o ścianę. Jakiś wielki krzyk rwał się z piersi – czuł, że mu wyrządzano na każdym kroku krzywdę... Wzięli mu spokój, zabrali mu dzieci, a teraz potracają go i biją...

Wszystko to zapadało na dno jego zmęczonej duszy jakimś dziwnym nieporozumieniem. Moralne urównoważenie, nabyte szeregiem długich lat, zaczęło się chwiać niemiłosiernie. Rodził się w nim coraz gwałtowniejszy bunt. Stare nałogi, stare komunały, które wypracował przez swoje długie życie, zaczęły się klócić z nowymi myślami, rozsadzającemu mózg. I nie spostrzegł, że dniem każdym zbliża się coraz bardziej do swych synów, że zaczyna ich coraz lepiej rozumieć i coraz więcej kochać.

Pewnego dnia wybrał się z wizytą do przyjaciela Konrada, studenta Wilskiego. Znał go od lat kilku.

Wilski mieszkał na tak zwanym czwartaku w jednej z większych kamienic śródmieścia. Jeszcze przed paru miesiącami mieszkali tu również synowie pana Marcina. Wilskiego z Konradem łączyła wielka przyjaźń – obaj studiowali prawo, mieli jednakowe upodobania i charaktery. Jerzy źle się do nich dopasowywał – był wesoły przy biesiadzie i porywczy w dyspacie, wówczas gdy tamci byli poważni i smutni. Jerzy studjował medycynę.

Pan Marcin z wielkim wysiłkiem wdrapał się na czwarte piętro. Po drodze odpoczywał kilka razy. Była wczesna godzina.

Wilskiego zastał jeszcze w łóżku.

– Co? przeszkodziłem? – mówił, podając mu rękę i siadając przy stole. – Niech pan wybaczy starem.

– Ależ nic nie szkodzi. Nie śpię już od godziny.

Pan Marcin odsapnął i zapalił fajkę.

– Wy tu w mieście z nocy robicie dzień, a we dnie śpicie – mówił po chwili. – A u nas na wsi i w nocy śpią i we dnie umieją spać... zwyczajnie ludzie zdrowi. Hm, zdrowi... Przespali wszystko, i ambicję, i sumienie – i życie prześpią, nie żyjąc. A ja już ze starości spać nie mogę i z nieszczęścia, więc chodzę i innym przeszkadzam.

– Ale cóż nowu – zaprotestował Wilski – o innej porze rzadko bywam w domu.

– To też dlatego przyszedłem tak wcześnie. Jerzy prosił mnie na wyjeździe, żebym pożegnał pana w jego imieniu.

– Jakto? więc Jerzy wyjechał? – zapytał Wilski ze zdumieniem. – Wyjechał i nie był u mnie!

– Bo nie mógł. Wywieziono go etapem do granicy – odpowiedział pan Marcin, zaciągając się dymem z fajki. – Dali paszport i kazali jechać i pilnowali go aż do granicy, a może i tam pilnują. Jest już teraz w Zurychu. Mógłby tam skończyć medycynę, ale pewnie nie skończy. W taki czas trudno siedzieć za kordonem. Nie wytrzyma i przyjedzie... na pewno przyjedzie.

– A Konrad? – zapytał Wilski.

– Konrad siedzi. Ludzą mnie i obiecują, wyznaczają terminy, a on wciąż siedzi. Wytoczono mu proces i oddano go pod sąd wojenny.

– Jakto? sąd wojenny? – wyszeptał z przerażeniem Wilski.

Pan Marcin poruszył się na krześle niespokojnie i otoczył się kłębamii dymu.

– Tak – mówił – jest oskarżony z artykułu 279 kodeksu wojennego. Czy nie zna pan tego artykułu?

Wilski nagle zrobił się blady, jak ściana. Wytrzeszczył oczy i patrzył na pana Marcina z przerażeniem. Cała krew spłynęła do serca, twarz się zmieniła do niepoznania i usta drżały.

– Czy pan dobrze pamięta, że to ten paragraf? – pytał, wyskakując z łóżka i narzucając na siebie ubranie.

– Tak, panie, doskonale pamiętam – 279 i kodeks wojenny... doskonale pamiętam...

– To źle! – krzyknął Wilski i podbiegł do szafki z książkami. Nachylił się i szukał czegoś, nerwowo przerzucając papiery i książki. Wreszcie wydobyl jedną z nich, otworzył i drżącymi rękami zaczął przewracać stronicę. Palce plątały się bezładnie, stronicę sklejały się i nie chciały słuchać. Wreszcie zagłębił się w czytaniu.

Po chwili rzucił książkę i znowu usiadł na łóżku.

Pana Marcina ogarniał coraz większy niepokój. Pochylił się cały naprzód i otoczył się kłębamii dymu. Chciał pytać, a słowa bezgłośnie umierały w gardle. Coś chwyciło go za krtań i dusiło. Płaskie, blade oczy nabrzmiały krwią i twarz posiniała.

– Czemu źle? – wybelkotał wreszcie – może Syberja? może ciężkie roboty?

– Nie – wyszeptał Wilski.

– Więc śmierć? – pytał przerażony pan Marcin.

– Śmierć... – brzmiała odpowiedź.

Pan Marcin patrzył przed siebie i nic nie widział, Wilski zakrył twarz rękami i siedział milczący.

W małym studenckim pokoiku zrobiło się nagle straszno. Zdawało się, że ktoś wszedł, a nie było nikogo prócz nich. Zdawało się, że słyhać było brzęk ostróg, dzwonięcie szabel i jakieś dziwnie obce i przykre głosy, a nikt nie chodził i nikt nie mówił, tylko w uszach dzwonił uparcie ostatni wyraz rozmowy – śmierć!

Pan Marcin wstał pierwszy wydobyl z kieszeni woreczek z pieniędzmi i, kładąc na stole dziesięć rubli, rzekł:

– To dla waszego komitetu na intencję Konrada...

Potem milcząco pożegnał się z Wilskim i, nasunawszy głębiej, niż zwykle, kapelusz na oczy, chwiejnym krokiem wyszedł z pokoju.

Nie pamiętał, jak znalazł się na ulicy i kiedy wrócił do domu. Napozór był zupełnie spokojny tylko gdy się znalazł sam w swoim ciasnym pokoiku, głowa zaczęła mu się trząść, jak wahadło starego zegara, a łzy, jak groch, jeły spadać na wypłowiały paltot, którego przez roztargnienie nie zdjął.

Przez roztargnienie również nie jadł obiadu i przesiedział tak do wieczora. Dopiero późno w noc rozebrał się i położył.

Nie mógł spać. Z początku przeszkadzały mu głosy, dolatujące z kurytarza, brzęk naczyń w kuchni hotelowej, ciche stąpanie i głośnie śmiechy służby na podwórku, a potem dokuczliwe i nudne brzęczenie muchy, a potem – ten 279 paragraf i brzęk ostróg jakichś obcych i przykrych rozmów.

Przez tę jedną noc panu Marciniowi przybyło kilka lat. Pomimo to był zupełnie spokojny. W całej jego postaci znać było rozpaczliwą rezygnację i kamienny spokój. Milczał zawzięcie, otaczał się kłębamii dymu i czekał.

Tak szły dni i zbliżał się lipiec. Upały były straszne. Chodniki i bruki paliły się słońcem, ziemia wyschła, drzewa stały szare i powiędło. W południe trudno było oddychać, wieczorem szary kurz siał się na ulicach. Zdawało się, że lada chwila zerwie się wichur i lunie deszcz. Już od dłuższego czasu nie padał.

Pan Marcin pewnego dnia wieczorem powracał do domu. Szedł wolno. Był zmęczony upalnym dniem, a w wieczorze nie było ochłody wieczornej. Było duszno. Pod długim szpalerem drzew na całej ulicy leżały nieruchome szare kłęby kurzu.

Z lewej strony paliły się na niebie łuny zachodu i nad dachami kamienic leżały długie smugi żywego ognia, a z prawej nisko nad ziemią wisiała duża, miedziano-czerwona tarcza księżycy.

Zmęczona długim dniem słonecznym ulica powoli okrywała się mrokiem.

Pan Marcin szedł tuż pod ścianami kamienic, gdzie najmniej było przechodniów. Nie rozglądał się dokoła siebie, nie przystawał. Pod ciężkim wrażeniem wracał do domu. Dziś powiedziano mu, że za tydzień będzie sprawa Konrada. A on myślał, że to wszystko potrwa dłużej i że zdąży jeszcze przed sprawą odwiedzić Jerzego w Zurychu. Miał już paszport w kieszeni – a tu tak niespodziewanie spadła na niego ta wiadomość i sam nie wiedział teraz, co począć.

Szedł wolno.

Naraz z bocznej ulicy, którą mijał, doleciały go żałobne tony marsza.

Zatrzymał się i patrzył.

Jak z pod ziemi, wyrósł przed nim długi jakiś kondukt pogrzebowy.

W perspektywie ulicznej nisko nad ziemią palił się czerwony księżyc, a niebo było lilowo-różowe od gasnącego za nim zachodu. Z długiej i wąskiej ulicy wstawał kurz, a w kurzu dziwnie groźnie i żałośnie warczały bębny i piszczały trąby. I paliły i dymiły smolne kagańce, i krzyczały śnieżną białością czapki żołnierzy, i groziły błyskaniem złowrogiem najeżone bagnety. Środkiem ulicy szedł w jasnym niebieskim habicie pop, poprzedzany cerkiewnym chórem, który intonował jakąś pieśń beznadziejnie smutną i poważną. Za nimi na trzech platformach wieziono trzy trumny.

A nad ogniami smolnych kagańców i nad uroczyście żalonym płaczem trąb i nad warczeniem bębnow, pod miedziano-czerwoną tarczą księżycy, po długich rzędach najeżonych bagnetów ślaniała się śmierć...

Trzy trumny... trzy trumny razem...

Pan Marcin patrzył i zdawało mu się, że śni. Opanował go jakiś bezmyślny lęk, więc coraz spieszniej szedł w szary zmierzch zwięzającej się ulicy, a za nim biegły te trzy trumny i księżyc, a za nim szli popi w niebieskich, złotem haftowanych habitach i chór śpiewał, i trąby grały, a najeżone bagnety krzyczały:

– Śmierć wam... śmierć wam...

Ledwie dowlóknął się do swego hotelu. U wejścia szwajcar wręczył mu telegram. Pan Marcin zwykle bał się telegramów – przynosiły mu one zawsze jakieś niespodziewane i niedobre wieści. A dziś ten pogrzeb – i potem telegram... Wszystko wali się na głowę i przygniata...

Telegram był z Zurychu.

Nie pamięta, jak się to wszystko stało, nie pamięta, co mówił i co robił – wie tylko, że o jedenastej był już na dworcu.

Wyjeżdżał do Zurychu...

Prędzej... prędzej... byle dojechać wczas!...

Rozpaczliwy krzyk wydiera mu się z piersi, ogniste słowa depeszy przesuwają się przed oczami, jak te trzy trumny pod czerwonym księżycem.

Nie rozumie, jak się to wszystko stało i myśli, że to kłamstwo...

Nie... nie... to prawda – depesza mówiła żywymi słowami: „syn pański umiera...”

Żywe słowa!

Wagon krzyczy i dudni, zapach węgla i dym wgrzają się piekielnie pod powieki i tamują oddech w piersi...

W wagonie kurz i upał.

A on siedzi w spłowiłym, zielonym paltocie, ze skrzydłami zamiast rękawów, głowa mu się trzęsie, a od nasuniętego na oczy kapelusza na całą twarz kładzie się gruby cień.

Wszystko w nim zamarło i zdrętwiało. Myśli obłąkały się bólem i chodzą po głowie, jak te turkoty kół – długie i nużące.

Wszystko mu jedno! byle tylko prędzej jechać w ten mrok nocy, w ten daleki i obcy świat...

Za nim śmierć i przed nim śmierć! a on sam, niepotrzebny i, jak dziecko, bezradny – nie wie, poco jedzie, i dlaczego dotychczas jeszcze nie umarł?

...A w Zaborzu teraz już wszyscy śpią. W sadzie, w lipowej alei największy mrok... tylko tu i owdzie z pomiędzy pni przeziera światło księżycy i zwiększa mrok pod gałęziami. A za sadem w księżycu faluje żytni łąn – po ciężkich kłosach chodzą wilgotne szumy i wpełzają w mrok lipowej alei.

I nagle w alei robi się widno... Zielone, miesięczne poświaty wdarły się pod gałęzie i rozlały się po całej alei...

Tam na końcu pod zielonym dachem stanął wielki, miedziany księżyc, a z pod niego idzie upiorny jakiś korowód, długie szeregi czarnych żałobników, rozelkane kolumny płaczek.

Tu i owdzie w mroku jeszcze błyskają topory i słychać jęki. Podnoszą się jakieś ręce i opadają bezsilne. Jacyś ludzie w robotniczych koszulach bohatercko obnażają piersi do strzału – i padają rażeni. A nad tem wszystkim słaniają się płacze i huczą echa dalekich dzwonów...

A korowód wydłuża się i posuwa naprzód – już wchodzi w największy mrok, tam gdzie lipy najstarsze.

I nagle pierś pana Marcina napełnia się krzykiem:

– Dokąd oni ciebie niosą, Jerzy?...

I oto z pod lipy strzaskanej piorunem w zeszłym roku wychodzi jakiś robotnik, jakiś młody towarzysz, zatrzymuje się przed nim i mówi:

– Idziemy w zorzę... idziemy w słońce!...

I nagle z północy przychodzi wielki wichur, biegnie po gałęziach przez lipową aleję i przypada do ziemi, i porywa cały tłum i pana Marcina – i wiedzie..

Wyszli z sadu i idą przez żytni łąn. Kłosa chylą się do nóg i szumią i otrząsają rosy. Z łąnu weszli w bór – i wichur zaraz obudził wszystkie drzewa i drzewa rozkołysały się i zaczęły mówić, jak ludzie:

– Idziemy w zorzę... idziemy w słońce!...

A wysoko pod najstarszą i najwyższą sosną leży nieruchomy jego syn – i ręce ma na piersi złożone, jak umarli.

I nagle wzeszło słońce...

Był już wielki dzień, kiedy go zrewidowano na granicy. Po załatwieniu wszystkich formalności ruszył w dalszą drogę.

I znowu siedział nieruchomy i milczący w ciasnym wagonie, w swoim spłowiłym, zielonym paltocie ze skrzydłami zamiast rękawów.

Pociąg pędził, koła zgrzytały i cały wagon tańczył. Przez okna wpadał kurz.

Nie wyglądał oknem – nic go nie obchodził świat i ta nowa okolica.

Tam – w górach wielkich, nad jeziorem błękitnym umierającymi oczami szuka go Jerzy. A koło niego idą w szalonym tańcu jakieś ziemie obce i jakieś miasta obce... lecą... lecą... a na drogach drzewa pełne owoców, a w miastach strzałów nie słysząc...

Wszędzie szczęśliwie i spokojnie.

A Konrad siedzi teraz w ciasnej celi. Na czarnych drzwiach ktoś ogniem napisał 279... kara śmierci... ani kroku naprzód! Wszędzie mur, wszędzie krata i szyldwachy! Siedzi i nic nie wie o ich wspólnym nieszczęściu... Pan Marcin nie zdążył napisać, że wyjeżdża.

A nieszczęście złem przecuciem wpełza do celi przez szpary we drzwiach i przez kraty w oknach i powoli wsysa się w krew...

Nieszczęście!

Tak spędził dzień cały i noc następną. Nikogo o nic nie pytał, a pytany – nie odpowiadał; udawał, że nie rozumie języka. Wreszcie w południe dnia następnego stanął na miejscu.

Znalazł się w dużym, obcym mieście. Wszystkie ulice były wylane asfaltem, dokoła piętrzyły się stylowe, wspaniałe gmachy. Było ładnie i obco zupełnie..

Jerzy nie przysłał mu swego adresu, natomiast w liście ostatnim podał adres kuzynki Wilskiego, studentki. Musiał ją więc pan Marcin odszukać. Wypytywał posłańca i usiadł we wskazany tramwaj.

Jechał prawie pół godziny.

Mieszkała w studenckiej dzielnicy na trzecim piętrze w małym, schludnym pokoiku.

Na nieszczęście nie zastał jej w domu. Wpuściła go do pokoju niemka staruszka w białym czepku i w białym fartuchu. Nie wiedział sam, co począć, więc zaczął łamaną niemiecką wypytywać staruszkę:

– Może pani wie? tu był student polak taki młody z czarnymi włosami... może pani wie, co się z nim stało?

– Polak?

– Tak! tak, polak z Warszawy, nazywał się Jerzy. Musiał być chory, bo panienska wasza telegrafowała do mnie, że umiera.

– Słyszałam... słyszałam... to ten student, ten młody student z Rosji, – zaczęła spieszenie i ze wzruszeniem mówić staruszka. – Ach! to był straszny wypadek z dynamitem... taki głośny huk, o, mój Boże! Ten student dzisiaj umarł w szpitalu...

– Dzisiaj! – ryknął na cały głos pan Marcin i zatoczył się, jak pijany...

Więc spóźnił się o kilka godzin...

Wybiegł na ulicę i poszedł, nie wiedząc sam, dokąd idzie. Już teraz było mu wszystko jedno – spóźnił się o kilka godzin...

Gdzie ten szpital?... Musi go widzieć, koniecznie musi go widzieć umarłego... Chce pytać przechodniów o szpital – i boi się...

I nagle wszystkie wspaniałe stylowe gmachy rozstały się przed nim, rozeszły się w dwie strony i pan Marcin ujrzał w dole w perspektywie ulicznej miedzianą tarczę księżycą...

Ktoś go chwycił za rękę, ktoś mówi:

– Czy pan był u mnie? czy to panu służąca powiedziała, że pan Jerzy umarł?

Pan Marcin patrzy i nic nie rozumie. Przed nim stoi zarumieniona od biegu wysoka blondyna i szarpie go za skrzydło paltota i pyta znowu:

– Czemu pan nie odpowiada? Wszak to pan był u mnie przed chwilą i rozmawiał ze służącą?...

– Tak powiedziała mi... – wykrztusił wreszcie pan Marcin.

– To nieprawda, ona nic nie wie! – przerwała mu studentka. – Pan Jerzy żyje... dziś umarł Sokołów... pracowali razem... wybuch był silny, ale pan Jerzy ma tylko osmoloną twarz i pokaleczone ręce... Właśnie byłam przed chwilą w domu. Służąca powiedziała mi o panu, więc biegłam, żeby go dogonić... Chodźmy do szpitala...

Szli milcząc. Pan Marcin nic nie rozumiał – nie wiedział, poco go zwodzi... gdy on wie o wszystkim...

Skręcili w boczną ulicę, weszli w jakiś sad, w którym z poza drzew wyglądał biały, piętrowy dom. Przeszli sad, potem biały, jasny kurytarz i weszli do sali, gdzie rzędem przy ścianie stały łóżka.

Wskazała mu jedno z nich.

Na łóżku leżał ktoś z obandażowaną głową. Na powiekach miał plastry i na rękach bandażę.

– To on – powiedziała panu Marciniowi i, schylając się nad chorym, szepnęła:

– Ojciec przyszedł...

– Nie widzę... nic nie widzę...

Więc wzięła rękę pana Marcina i położyła na obnażonej piersi chorego – pierś była ciepła i serce biło...

Pan Marcin ze wzruszenia nie mógł mówić. Był pewny, że to wszystko nieprawda i jednocześnie nie wiedział, co to wszystko znaczy.

Żyje – kiedy pan Marcin wie, że umarł...

Zgnębiony i przybity wysunął się na kurytarz. Otoczyli go znajomi syna, a on usiadł pod oknem i głowa zaczęła mu się znowu trząść.

Wielki płacz wzbierał w piersi.

– Poco wy to wszystko robicie? – mówił, wodząc oczami po zebranych – przecież on nie żyje...

I płakał jak dziecko.

Wieczorem przyszedł do szpitala znowu. Był spokojniejszy. Doktor zapewnił go, że Jerzy żyje. Doktor był bardzo poważny – uspokajał go i jednocześnie mówił, że się boi, żeby Jerzy nie oślepl.

Ale pan Marcin już wiedział, że Jerzy żyje.

Usiadł przy łóżku syna i rękę na piersi położył.

– Czy ty mnie widzisz? – pytał szeptem.

Po ustach chorego przebiegł ból.

– Nie widzę... nic nie widzę – wyszeptał Jerzy i duże łzy popłynęły z pod poranionych powiek.

Siedzieli milcząc. Te łzy spłynęły na serce pana Marcina, jak krople rozpalonego ołowiu.

Pochylił się nad łóżkiem i zaczął kłamać:

– Uspokój się i bądź cierpliwy. Doktor mi mówił, że, gdy się rany wygoją, będziesz widział. To wszystko przejdzie... Konrada uwolnią, i ty powrócisz do Zaborza.

Głos mu się trochę załamywał, coś go chwytało za gardło poprawiał się na krześle i spuszczał oczy. Pan Marcin nie lubił kłamać.

Odtąd dni całe spędzał przy łóżku Jerzego.

A Jerzemu z dniem każdym było gorzej. Gorączka zaczęła się wzmacniać, powieki napuchły i posiniały, wargi w kilku miejscach popękamy i krwawiły.

Pan Marcin niepokoił się coraz więcej. Doktor przychodził dwa razy dziennie, sprawdzał historię choroby i milczał. Tylko z twarzy znać było, że jest źle.

Pod koniec drugiego tygodnia od przyjazdu pan Marcin stracił ostatnią nadzieję.

Jerzy umarł w słoneczne lipcowe rano. Twarz zrobiła się białą i puchlina opadła.

Za oknem właśnie kwitły w sadzie magnolie, kiedy Jerzego wraz z łóżkiem wynoszono do trupiarni.

Nazajutrz odbył się pogrzeb i pan Marcin wieczorem wyjechał do Warszawy.

Konrad! Co oni zrobili z Konradem? Nikt nie wiedział, dokąd wyjechał, nikt nie zawiadomił go o wyroku. A sąd już się odbył...

.....
Drzewa już się zaczynały ubierać w jesienne pozłoty i po szarych rzyskach już się snuły obłądne melancholje, kiedy pan Marcin powrócił do Zaborza.

We dworze nikt go nie poznał.

Panna Aniela w izbie czeladnej, opowiadając zebranych po pracy parobkom o panu Marcinie, zanosila się od płaczu. A stary koniuch Jaśko, słuchając, dwa razy oczy rękawem sukmany wycierał.

Pana Marcina nikt nie śmiał pytać o paniczów. A pan Marcin snuł się po pustych pokojach, jak cień. W sali kilka razy podejrzliwie zajrzał do zwierciadła – śnać i jemu przywidziały się jakieś mgły bezkształtnie błędzące po pokoju. Przyglądał się – i za każdym razem widział tylko swoją czarną wyschlą twarz, okoloną białymi jak śnieg włosami.

O zmierzchu wyszedł do sadu.

W lipowej alei na drodze było pełno złotych liści, pod lipą strzaskaną piorunem w zeszłym roku rosły czerwone muchomory, a za sadem biegły w zmierzchu jesiennego wieczoru nagie rżyska.

Było cicho i pusto – tylko z pod liści szeleszczących pod nogami wypełzały zapomniane tęsknoty.

Pan Marcin przez cały dzień następny nie wychodził ze swego pokoju, tylko pod wieczór przywołał do siebie panną Anielę i zamknął się z nią w gabinecie.

Długo chodził po pokoju milcząc, potem stanął przed nią, i, jakby się bał, żeby ktoś nie podsłuchał, nachylił się i szeptał.

– Już po wszystkim... Przyszła rewolucja i zabrała obu... Chodziłem po świecie dalekim koło swojego szczęścia... Rewolucja...

Płacz panny Anieli zalał jego szept, więc mówił głośniejszym głosem, prawie krzyczał:

– Czy panna Aniela wie, co to jest rewolucja?

Panna Aniela milczała.

– Rewolucja – mówił po chwili. – Kiedy panna Aniela zarzyna kurczęta, a te się zbuntują i nie dają się rznąć – to wówczas jest rewolucja... Ludzie, jak kurczęta...

Machnął ręką i znowu zaczął chodzić po pokoju.

– Niech panna Aniela nie płacze, bo to dobrze, kiedy ludzie nie dają się rznąć.

Zapałił fajkę i ciągnął dalej:

– Jutro niedziela. Trzeba zwołać wszystkich gospodarzy z tych wsi, co leżą o miedzę – jest ośm wsi. Niech wszyscy do mnie przyjdą po mszy...

– I ci z Sielc? – zapytała panna Aniela – co to nasz las na wiosnę samowolnie rąbali.

– I ci... niech przyjdą wszyscy...

Nazajutrz po mszy przyszli do pana Marcina wszyscy chłopcy z okolicznych wsi. A pan Marcin ubrał się w czarny surdut, który po raz ostatni miał na sobie na pogrzebie żony, i wyszedł na werandę.

– Niech będzie pochwalony! – rzekł i pokłonił się nisko sąsiadom.

– Na wieki wieków – odrzekli chłopcy.

– Dziękuję wam, ludzie, żeście na moją prośbę przyszli – mówił drżącym głosem pan Marcin. – Ze świata przyszedłem i mam do was sprawę.

Dwie łzy stanęły w oczach pana Marcina i spływały po twarzy.

– Chodziłem po świecie dalekim koło swego nieszczęścia... Dzieci moje pomały za to, żebyście mieli ziemię i wolę, więc tak zrobić muszę, jak one chciały. Woli ja wam dać nie mogę, bo jej nie mam, ale wam moją ziemię oddaję. Bieda u was jest – na przednówku rąbaliście mój las samowolnie, bo nie macie drzewa na opał, w lecie robiliście mi szkody swoim bydłem, bo nie macie pastwisk. Dzieci wam umierają z nędzy – nieraz jecie chleb z kory i zgniłe ziemniaki. I sprawiedliwie jest, żebym wam oddał Zaborze... podzielicie się jak umiecie... będziecie mieli las... będziecie mieli pastwiska... Wszystko, co tu widzicie – to wasze.

Pokłonił się jeszcze niżej, niż przy powitaniu i czekał.

A po zebranych pod werandą chłopach poszły szepty, zrazu ciche, potem coraz głośniejsze, aż wreszcie z gromady wyszło dwóch gospodarzy najstarszych.

Pokłonili się w pas – i rzekli:

– Przyjdzie czas, że będziemy brać od wszystkich, a teraz nam twojej krzywdy nie trzeba...

*Nie zardzewiał ogniem w wodzie stalony
przez płatnerza gdzieś w Krakowie na Rynku,
przed ołtarzem Matki Boskiej święcony,
bisurmańską krwią pohańców zbroczony,
nasz miecz – groza bojowego ordynku.*

*Nie zardzewiał, choć na hańbę Europy,
kłam zadając prawom boskim i ludzkim,
los nas rzucił białym carom pod stopy,
białym carom wyświęconym na popy,
nawpół dzikim atamanom kałmuckim.*

*Nie zardzewiał, chociaż odszedł w mrok dziejów
huf rycerzy, co w krwi kurzu i w dymie
pogrążyli cichy świat Kołodziejów,
by dziś krzyknąć krwawym buntem Okrzejów,
którym dotąd było – miljon – na imię.*

*Nie zardzewiał... jeszcze ostrzem stalonym
błyśnie jutro Panu Bogu na chwałę
i zakreśli krzyż nad polskim zagonem
i wrogowi potępieniem czerwonym
przed skonaniem plunie w ślepią zuchwale.*

